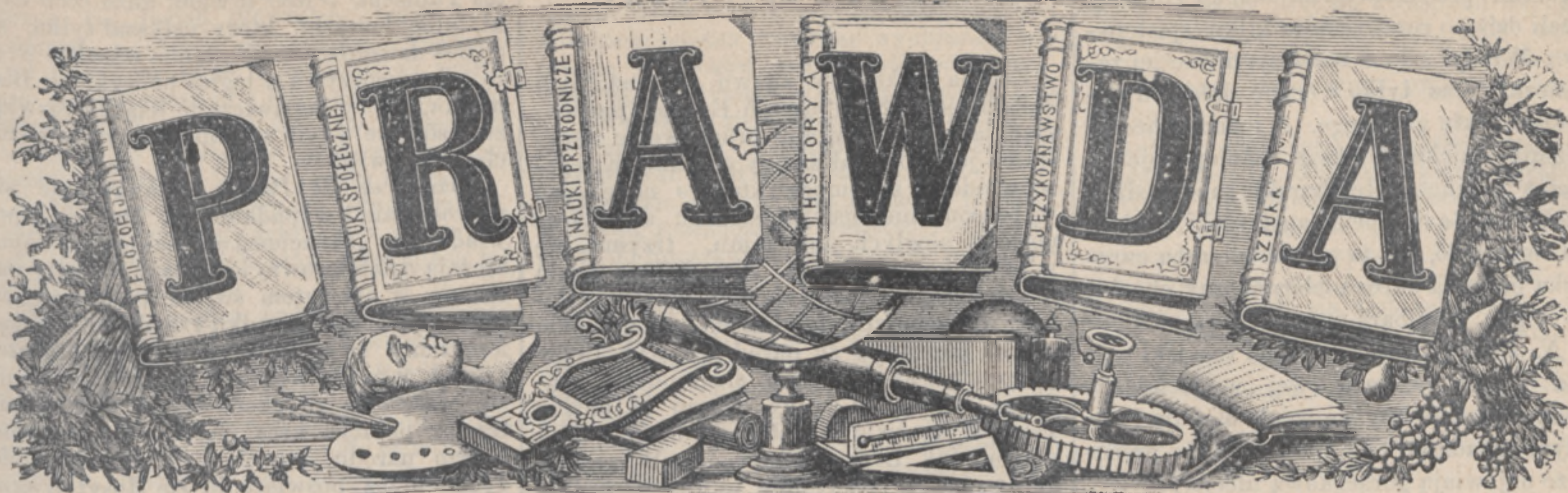
№ 11. Warszawa, dnia 12 Marca (28 Lutego) 1887 r. **Rok VII.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. abonentów naszych prosimy o wczesne odnowienie przedpłaty kwartalnej. Zarazem przedpłacicieli dzieła Morgana uwiadamiamy, że jego druk zbliża się do końca. Mamy nadzieję, że mała zwłoka, spowodowana trudnościami starannego przygotowania tak obszernej i w treść bogatej książki, będzie łaskawie uwzględnioną. W przyszłym miesiącu spodziewamy się dzieło to wypuścić.

POLITYKA.

WĘDRUJĄCY PUNKT CIĘŻKOŚCI.

Jak gdyby w doskonale reżyserowanej sztuce: zaledwie skończyły się wybory do sejmu niemieckiego, podczas których bito w bęben wojenny, natychmiast wysunęła się ze swym buntem zapomniana od kilku tygodni Bułgarya, która znowu dostarczać będzie alarmów prasie i giełdzie. Ta nieprzerwana ciągłość wypadków niepokojących, która zwłaszcza biednemu rublowi nie pozwala odpocząć ani przez chwilę, jest istotnie bardzo znamienną. Według *Mosk. Wiedomosti* wszystko, co się dzieje na południo-wschodzie od lat paru, jest podziemną angielsko-niemiecką robotą przeciwko Rosyi, która — według tego dziennika — wytęża ostatnie siły, ażeby nie zejść z drogi dotychczasowej. Można w tym razie zgodzić się z organem p. Katkowa. Pomimo zapewnień przyjacielskich, trudno przez ich rzadką mgłę nie dostrzedz, że główny reżyser polityki europejskiej gorliwie i niezmordowanie pracuje nad odosobnianiem Rosyi i paraliżowaniem wszystkich jej wpływów. Zachowując starannie pozory życzliwości, przysięgając na nią uroczyście, tajemnymi kanałami przeprowadza miny, które wybuchają w porę, nie zdradzając ręki, co ją podłożyła. Obok środków i celów dyplomatycznych, ks. Bismark podkopuje swą sąsiadkę wschodnią z innej jeszcze strony — ruiną ekonomiczną. Porażki finansowe bez wątpienia zależą także od innych przyczyn, często jednak nagłe spadki kursu pieniędzy rosyjskich na giełdzie berlińskiej noszą tak widoczną cechę złej woli rynku niemieckiego, że dla dostrzeżenia jej niepotrzeba nakładać na oczy szkieł powiększających.

W ostatnim akcie rozruchów bułgarskich, które regencya stłumiła z nieznaną dotąd w jej rządach surowością, dotąd Niemcy nie nacisnęły swej sprężyny, bo na jej działanie nie nadeszła jeszcze pora. Sprawa dopiero splotła się w węzeł. Część wojska w Sylistryi i Ruszczuku, nakłoniona bądź przez zwolenników Cankowa, bądź przez dymisyonowanych oficerów, powstała zbrojnie. Niektóre wszakże oddziały lub ich odłamki stanęły po stronie regencyi i łącznie z mieszkańcami rozpoczęły walkę. Powstańcy wkrótce zostali rozbici, przy czem krew polała się dość obficie. Regencya natychmiast wysłała na miejsce sąd polowy, który kilku głównych sprawców ukarał śmiercią.

Wykonanie tego wyroku obudziło w niektórych pismach rosyjskich zgrozę a w całej Europie odbiło się obawą. Poprostu nie spodziewano się nigdzie takiej energicznej operacyi. Przypomnijmy sobie, że gdy po detronizacyi i wywiezieniu ks. Aleksandra obecny rząd bułgarski chciał stracić sprawców zamachu, konsulowie państw europejskich powstrzymali go zbiorowem napomnieniem od tego kroku i rzeczywiście wyjednali dla uwięzionych bezkarność. Zdawało się więc, że i tym razem regencya spiskowców ułaskawi. Tymczasem zanim rozbiegły się wieści o rozruchach, ona już głównych uczestników straciła. Skąd poczerpnęła tę odwagę i czy wogóle oparła się o jakąś zachętę — odgadnąć trudno. To pewna natomiast, że zaryzykowała wiele. Za przewodem *Mosk. Wiedomosti* gazety rosyjskie podnoszą fakt, że w starciu i na placu kaźni padli bądź jej stronnicy, bądź poddani, że więc ta krew wymaga pomsty. Wnioskując ze zwięzłej odezwy *Journ. de St. Petersb.*, należałoby przypuszczać, że Rosya i ten gniew w sobie stłumi, Europa wszakże mocno zaniepokoiła się znowu „odrobiną bułgarską." W czemże tkwi ta trwoga?

W niepewności stosunków. Dopóki prasa zamieszczać będzie takie telegramy, jak np. środowe: „zjazd dostojnych gości w Berlinie na rocznicę urodzin cesarza Wilhelma okaże się *wielką manifestacyą pokojową*; czynią się próby (w Wiedniu) ze świeżo wynalezionym karabinem magazynowym *genialnego pomysłu*;" dopóki róższczka oliwna będzie miała postać bagnetu, dopóki urzędowe uspokojenia przeplatać się będą żądaniami i uchwałami wyższych kredytów wojennych, dopóki wreszcie sami kierownicy naw państwowych nie będą pewni trwałości stosunków na odległość tygodnia — dopóty lada drobiazg zasieje obawę i— co ważniejsza — sprowadzić może katastrofę. Niepodobna spać bez troski pod ścianami prochowni, w której wnętrzu zapalane są ciągle latarki, chociaż osłonięte, ale zawsze płonące. Po największej nawet „manifestacyi" pokój zbrojny pozostanie pokojem zbrojnym, to znaczy — przygotowaniem do wojny. Nikt o tem nie wątpi, każdy szuka tylko najbliższej przyczyny, która sprowadzi wybuch. Dziś przelęknione oczy widzą tę przyczynę we Francyi, jutro w Afganistanie, pojutrze w Bułgaryi itd. Wszystkie domysły są równowarte, bo wszystkie ślepe.

Rzec można, iż każdy dzień potęguje tę wrażliwość lękliwą. Po wywiezieniu a zwla-

szcza po abdykacyi Battenberga sprawa bułgarska przedstawiła się daleko groźniej, aniżeli dziś po rozstrzelaniu kilku spiskowców. Wtedy szło o rozstrzygnięcie jej zasadnicze, teraz tylko o ocenę dalszych następstw faktu głównego. A jednak obecnie widzimy daleko większe zaniepokojenie, chociaż gabinet petersburski zapowiedział nadal bierność i chociaż austryacki oświadczył wyraźnie, że ta groźna choroba europejska przeszła okres niebezpieczny, chociaż nawet gen. Kaulbars upewnił korespondenta *N. W. Tageblatu*, że rząd rosyjski wytrwa i tym razem w swej wstrzemięźliwości. Nie dziwimy się wcale blizkim i odległym świadkom tego powikłanego procesu, że objawiają gorączkową niecierpliwość, że z ust ministeryalnych lub dziennikarskich chcieliby jak najprędzej usłyszeć przepowiednię bodaj ogólnikową; wszelkie jednak pytania muszą tu pozostać bez odpowiedzi. Zmienny obraz stosunków politycznych, rysujący się w prasie, odbija, zdaniem naszem, doskonale istotny stan rzeczy. „Punkt ciężkości" tego stanu co dzień prawie umieszczany bywa gdzieindziej: w Konstantynopolu, Paryżu, Wiedniu, Berlinie, Petersburgu itd. I rzeczywiście ten „punkt ciężkości," skutkiem ciągłego falowania morza europejskiego, wędruje ustawicznie i nigdzie nie zatrzymuje się długo. Jak na oceanie przed burzą wznoszą się wysokie bałwany tam, gdzie przed chwilą rozwarła się przepaść, tak i w Europie powierzchnia życia ulega gwałtownym zmianom. Dziś ów „punkt ciężkości" spoczywa na półwyspie Bałkańskim, w „odrobinie bułgarskiej," a gdzie jutro się przesunie? Kto zna jego skoki, nie zdziwi się, gdy go na dni kilka spostrzeże w Pekinie lub Teheranie, bo i stamtąd wybiegały groźne chmurki. Prawdopodobnie przez czas obchodu rocznicy urodzin cesarza Wilhelma zatrzyma on się w Berlinie, gdyż tam zapewne podjęta będzie ostatnia próba utrwalenia pokoju — nie wróżymy jednak tułaczowi długiego wytchnienia.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zefirek pokojowy znowu w ostatnich dniach powiał po niwach Europy, przynosząc, jak zwykle, wonie prochowe ze wszystkich jej stron. Tak zwany słusznie „Kriegsschwindel," zapomocą którego napędzono wyborcom niemieckim strachu a rządowi posłów uległych do sejmu, trzyma się w swej konsekwencyi. *Nat. Zeitung* z całą bezczelnością i zadowoleniem służebnic dobrze wypasionych funduszem gadzinowym ciągle powtarza, że naród jej, wybrawszy przeważnie zwolenników siedmiolecia, uratował Europę od wojny. Czego ta biedna Europa wmówić w siebie nie da! Z rozbitą głową, jak Etyka w gawędzie Wysockiego, powtarza bezmyślnie tę niedorzeczność i uśmiecha się zadowolona szczęściem, że kopa landratów, otrzymawszy mandaty poselskie, ocaliła ją od nieszczęścia. Zaiste, ks. Bismark powinien dla doświadczenia spróbować, czy nie przekona swych wielbicieli, że najwygodniej byłoby im spać, zawiesiwszy się na gałęziach ogonami.

Naturalnie nowemu sejmowi przedstawił natychmiast projekt siedmiolecia wojskowego, który, również naturalnie, ze słabym oporem przeszedł. Wytrwali przy proteście tylko postępowcy i socyalno-demokraci; centrum częścią zrobiło zwrot według komendy papieża, częścią wstrzymało się od głosowania. Ach, jakże ono, dzięki „ojcu św.," wygląda bezsilne i sparaliżowane w nowym sejmie! Znikła dawna pewność, sprężystość, energia! Tylko stary Windhorst nie wypuszcza z rąk chorągwi, zacierając smutek sztucznym humorem.

Za przykładem innych i Anglia podwyższyła swe wydatki na armię o 160,700 f. szt. W porównaniu z wysiłkami Niemiec, Francyi i Austryi jest to ofiara na ołtarzu Marsa dość skromna, świadczy ona jednak, że nawet John Bull uznał w swem ciele kupieckiem dreszcze... pokoju. Minister Stanhope wypracował plan uruchomienia wojsk, który pozwala szybko wysłać w pole... dwa korpusy. Nie straszne to w epoce, kiedy inni mogą postawić milion żołnierzy, ale „czem chata bogata, tem rada" Janusowi, zwracającemu się ciągle do Europy twarzą pokoju... zbrojnego.

Namąciła wody w dziennikach pogłoska o przymierzu zawartem między Niemcami, Włochami i Austryą. Pierwsi jakoby zapewnili sobie pomoc w starciu z Francyą, ostatnia — z Rosyą. Trzeci ze wspólników ma być obdarowany Tyrolem włoskim, czy też Tunisem. Wieść tę zdobi dużo cech bajki, albo domysłu, który usłyszał tylko, że gdzieś dzwonią. Znajduje ona wszakże wiarę, gdyż spoczywa w logice polityki ks. Bismarka, który ustawicznie wiąże i rozwiązuje sojusze i tym sposobem trzyma w szachu przeciwników.

Journal de St Peters., zastanawiając się nad ostatnimi wypadkami w Bułgaryi, powiada, że „okrucieństwa, jakich się dopuszczają dyktatorowie bułgarscy okazały nareszcie w należytem świetle tych mniemanych obrońców porządku i swobody." W zakończeniu swych wywodów organ ministeryalny wyraża nadzieję, że „te pastwienia się wszczepią przekonanie, iż koniecznie trzeba położyć kres cierpieniom męczeńskiego narodu, powołanego niedawno do życia przez poświęcenie się Rosyi a skutkiem niezmiernej pobłażliwości Europy oddanego bez obrony w ręce anarchii. Cierpliwość ma swoje granice, a granice te zostały już przekroczone."

Zdawałoby się, że jest to zapowiedź czynu, trzeba wszakże pamiętać, że *Journal* nie zawsze bywa wierną zapowiedzią tego, co ma nastąpić.

Według „Agencyi Havasa" śledztwo przeprowadzone co do zniewag jakoby wyrządzonych w więzieniu Nikiforowi, należącemu do spisku, wykazało niesłuszność oskarżeń. Nikiforow sam napisał deklaracyę, obalającą zarzuty. Jednocześnie sprostowano doniesienie, że konsulowie zagraniczni w Sofii mieli regencyi odradzać zbiorowo wykonanie wyroków śmierci na przewódcach buntu. Przedstawienia takiego nie robiono.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC.

Drezno, luty, 1887.

Środki i środeczki przy wyborach do sejmu.—Studenci plastunkami.— Sprawozdanie Macierzy cieszyńskiej.— Polskość na Szląsku pruskim. — Litwini i mazury pruscy. — Stosunki polsko-czeskie.— Broszura o tem pana E. J. — Hory rozmowy polsko-czeskie. — Nowe wydanie dzieła Kreka. — Nehringa „Zabytki staropolskie." — Pierlinga dokumenta z epoki Batorego. — Śpiewy łużyckie Krawca.

Nacisk na głosujących podczas ostatnich wyborów do parlamentu niemieckiego uja-

---

1)

POWIEŚĆ.

KRAJOBRAZY.

I. Północny.

Ziemia przywdziała swój płaszcz śnieżny, na którym, niby ogonki gronostajowe, czerniły się drzewa i krzewy, postacie ludzkie i zwierzęce, a brzegiem biegł ciemny pas lasów. Szara i rzadka mgła rozmazała się po sklepieniu niebios; u ich stropu zawieszone słońce płonęło w mętach obłocznych, jak lampa w zakurzonem szkle mlecznem. Świeciło ono takim małym, księżycowym krążkiem, jak gdyby jego oko raziła oślepiająca białość śniegu. Powietrze napełnione było jasnością, ale chłodną, przyćmioną i bardziej bijącą z dołu, niż padającą z góry. Nie przerzynały się po niem żadne mocne dźwięki, przelewały się tylko głuche szumy.

(Były to szumy płetw i leniwe ruchy tworów, napełniających przestrzeń i pływających w niej niby we wnętrzu morza, niewidzialnych, bo przezroczystych, lodowatych i śnieżnych. Nie cieniowała ich żadna inna barwa, żaden inny żywioł, prócz zamrożonej wody, nie wchodził w skład ich ciał szklanno-przejrzystych. Miały one kształt rozmaitego, choć zawsze dziwacznego kroju — ryb, ptaków i zwierząt. Jedne podobne były do wielorybów, które co chwila rozwierały przepaścistą paszczę, wchłaniały rojącą się falę, a wystrzyknąwszy powietrze górnym otworem głowy i połknąwszy wązkiem gardłem żyjątka drobniejsze, wypluwały z odrazą istoty grubsze. Przy boku tych olbrzymów uwijał się rodzaj długich, zwinnych i nienasyconych rekinów, które pożerały wszystko żywo a nawet siebie wzajemnie: mniejsze tonęły w większych, te zaś w największych, nadziewając się tak sobą w miarę siły i obszerności żołądka. Krążył również gatunek, któremu wierzchnia szczęka wydłużona i uzębiona jak piła służyła za broń do przebijania ofiar, oraz zwinne, wytwornej postaci ryby, pływające grzbietami ku spodowi. Na dole pełzały ogromne raki i żółwie, kołysały się potworne wielonogi i głowonogi, jednookie, kolcami zjeżone, długimi wąsami nastrzępione i zwojami galaretowatych sznurków obrosłe, w pancerzach gładkich i chropowatych, w łusce lśniącej i matowej. Ślimaki poruszały wolno mackami, zwierzokrzewy rozkładały swe sztywne ramiona. Od czasu do czasu przemknął śród nich ptak z szerokim dziobem i zroslymi palcami lub przesunęło się bezkształtne cielsko zwierzęcia, przypominającego fokę, psa lub niedźwiedzia morskiego.

Wszystkie te twory lodowate, przejrzysto zlewały się z powietrzem i pozostawały niewidzialne dla oczu ludzkich, dostrzegających tylko szarą kopułę nieba, opartą skłonami na śnieżnym kręgu ziemi).

Niby para nurków, szukających perel i korali, niby dwoje utopionych w morzu zimy, stąpali po jego białem dnie otuleni w wełniane szaty i futra. Z całego ich ciała widniały tylko blade twarze, w których głęboko ukrytym żarem płonęły zapalające się wzajemnie od siebie niebieskie oczy. W owym świecie chłodu i białości był to jedyny ogień i jedyna barwa.

Szli długo w milczeniu, goniąc wzrokiem płatki śniegu, który pruszyć zaczął, nareszcie ona odezwała się:

— Za wiele pan milczysz.

wniał się tutaj ostatnimi czasy w przeróżnych postaciach, które sprowadziłby można do dwóch głównych: jedne były *środkami*, a drugie *środeczkami*. Pierwsze dość dobrze są znane z dzienników; wyrażają się one prostem i bezpośredniem działaniem machiny rządowej na podległych i uległych jej działaczów, w formie prośby, groźby, obietnicy, lub po prostu rozkazu.

Są to co nazywam *środki*. Mniej znane, więc też bardziej dla czytelników zajmujące będą *środeczki*, i o nich słów kilka niech mi wolno będzie napisać.

Pierwszym, bardzo zresztą zużytym, ale zawsze skutecznym, jest ciągłe drukowanie w dziennikach zatrważających wiadomości zagranicznych i to w sposób, który w muzyce się nazywa *crescendo*. Na dni kilka przed wyborami nieprzyjaciele ze wschodu i zachodu coraz to się zbliżają do granic niemieckich, a siły ich codzień wzrastają. Więc czytamy: francuzi zgromadzili o pięć mil od granicy niemieckiej 140 tysięcy wojska. Rosya koncentruje swe armie na całej linii granicznej; obecnie stoi tam 260 tysięcy piechoty i jazdy. Nazajutrz odległość od obu granic staje się mniejszą, a do liczb dodaje się codziennie po 20 do 30 tysięcy wojowników. Nareszcie w przeddzień i w sam dzień wyborów dużemi literami drukują dzienniki: nieprzyjaciel stoi na samej granicy; według dobrze poinformowanych źródeł francuzów jest przeszło 280 tysięcy; generał Boulanger jest już w drodze z Paryża do Nancy. Wojska rosyjskie nad granicą austryacko-niemiecką dochodzą cyfry 370 tysięcy, w tej liczbie 30,000 kozaków. Prawdopodobnie od głosowania za siedmioleciem zależeć będą kroki sąsiadównaszych. W Paryżu i Petersburgu niecierpliwie wyglądają rezultatu wyborów... i tak dalej, i tak dalej...

Raptem nazajutrz po głosowaniu telegrafy milkną... nieprzyjaciel po cichu usuwa się od granic gdzieś w głąb krajów swoich, jakby pod działaniem laski czarodziejskiej.

W wystawach księgarni, sklepów z papierem itp. pojawiają się różne widma, nakształt owych smoków na chorągwiach chińskich, których sam widok ma strachu napędzać. Smokami takimi były tu świeżo: naprzód fotogram generała Boulanger, który, nawiasem mówiąc, rozkupywano ogromnie, pomimo wysokiej ceny; powtóre: graficzne porównanie sił francuskich z niemieckiemi, przeprowadzone przez wszystkie rodzaje broni; pas czerwony wyraża potęgę francuską, czarny niemiecką; oczywiście, smugi czerwone wszędzie dłuższe, więc wniosek prosty, że zastępy niemieckie są słabsze i pomnożyć je koniecznie trzeba; potrzecie: mapa fortyfikacyj francuskich i niemieckich: punkta czerwone wyobrażają warownie francuzów, czarne niemców; czerwone są naumyślnie większe i gęstsze, roją się jak mak na ziemi francuskiej; czarne — rzadkie i małe, poglądowo przedstawiają bezbronność ojczyzny niemieckiej.

O gradzie broszur, proklamacyj i pisemek ulotnych, rozrzucanych wszędzie, podrzucanych do mieszkań, wtykanych w ręce przechodniów niema co i wspominać: to już środeczek zbyt dobrze znany.

Najdziwniejszem jest usposobienie młodzieży, szczególnie uniwersyteckiej. Kiedy od początku dziejów nowożytnych młodsze pokolenie zawsze i wszędzie znajdujemy w opozycyi, tutaj, przeciwnie, młoda Germania płynie w zawartej masie korytem rządowem, a o sejmie wyraża się zwykle lekko i pogardliwie. Doszło do tego, że jeżeli w knajpie jakiej goście zaczynają hałasować i używać wyrazów nieprzyzwoitych, gospodarz reflektuje ich następnie: moi panowie, nie krzyczcie i nie wymyślajcie, wszak tu nie parlament!

Sprawy poważne nie obchodzą się bez zajść komicznych; tak też było podczas wyborów. Opowiadano mi przed kilku dniami w Lipsku, że studenci tameczni, w liczbie około trzechset, zawiązali się w spółkę „budzenia szlafmyc,“ tj. zachęcania i zmuszania obojętniejszych obywateli do głosowania, ma się rozumieć, za kandydatami siedmiolecia — septennatu czy raczej *eternatu*, jak go nazywa jeden z dzienników wolnomyślnych. Otóż kilku tych panów przychodzi do pewnego niebogatego kupca, którego żona gdzieś odjechała, zostawiając mu do piastowania pięcioro dzieci. Młodzieńcy witają niedbałego głosodawcę imieniem ojczyzny w niebezpieczeństwie i zaklinają go, aby szedł wotum swoje złożyć. Ten im odpowiada, że uczyniłby to chętnie, ale musi dzieci pilnować. Wówczas studenci przyrzekają mu zająć się drobiazgiem aż do jego powrotu; więc jeden zabiera się do pokazywania rysunków starszemu potomstwu, drugi huśta kołyskę benjaminka; ojciec wychodzi spełnić rolę wyborcy; a że urna stoi w szynku, więc przy sposobności wotowania zabawia się gawędką z sąsiadami i wypiwszy kilka kufli piwa, wraca dopiero we dwie godziny do domu; zastaje akademików gorliwie bawiących dziatwę; dziękuje im za to, ci się zabierają do wyjścia; ale jeden, dla spokojności własnej, zapytuje go, za kim głos podał: Ma się rozumieć za Beblem; od dziesięciu lat na niego wotuję...

Można sobie wyobrazić miny prawomyślnej młodzieży na takie *dictum!* Nie lepsze pewno były od kwaśnych fizyognomij katolików niemieckich, gdy czytali „gromy watykańskie...“, do których przybywa nowy, skierowany przeciwko socyalistom.

Ach ci socyaliści! Cóż przeciw nim pomogą pioruny rzymskie, kiedy w samym Berlinie, pod okiem arcykapłanów krzyżackich, rosną oni jak grzyby po deszczu! Saksonia, ma się rozumieć Saksonia narodowo-liberalna (czy też *liberalna*, jak chcą niektórzy), chlubi się, że do tej chwili w tym roku żadnego socyalisty nie wybrała: ale przezierając liczbę głosów, widzi się np., że kandydat rządowy o parę tylko tysięcy więcej ich dostał od Bebla i musi jeszcze przejść głosowanie ściślejsze, które nie wiadomo, jak się powiedzie.

Ale dość już polityki; szkoda czasu na taką mizerną komedyę, jaką jest parlamentaryzm niemiecki. Zwróćmy oczy na rzeczy nas bliżej obchodzące.

Oto mamy przed sobą sprawozdanie Macierzy szkolnej w księstwie cieszyńskiem z pierwszego (1886) roku jej istnienia, złożone na walnem zgromadzeniu członków, w grudniu r. z. Główną tymczasem myślą i pragnieniem stowarzyszenia tego jest założenie gimnazyum polskiego w Cieszynie.

Zgromadzono na ten cel już około 15 tysięcy złr. Główne wpływy nastąpiły: naprzód z daru p. Ignacego Bagieńskiego z Odesy, który ofiarował 10 tysięcy rubli; potem z ofiary polaków rumuńskich, którzy złożyli byli 4,500 franków na szkołę polską w Jassach, ale później, gdy ta nie mogła przyjść do skutku, przekazali fundusz ten na gimnazyum w Cieszynie; kilka osób, przeważnie z nad dolnego Dniepru, nadesłało po 25 złr.; Czytelnia akademicka krakowska ofiarowała 150 złr.; kilka osób z Warszawy i Krakowa przysłało też trochę datków jednorazowych; znaczna ilość miejscowych członków Macierzy wnosi rocznie po 1 złr. „My polacy na Szląsku musimy tu przyznać sobie, żeśmy ograniczeni zgoła na warstwy niższe i uboższe (tak mówił przewodniczący), więc o własnych siłach nie moglibyśmy się zabrać do tak pożądanego dzieła, a przeto na najgorętszą podziękę od nas zasługują ci pozaszlązcy i dalsi bracia rodacy, którzy zamiar nasz tak szlachetnie i hojnie popierają... Pamiętajmy, że czesi w Opawskiem przez podobne postępowanie już osiągli gimnazyum czeskie w Opawie; to i my z pomocą wytrwałości i dobrej wiary możemy mieć pewną nadzieję.“

— Bo należę również — odrzekł on — do krajobrazu zimowego. Prawdziwi ludzie północy wiele milczą.

— Czyż pan jesteś jej synem?

— Przybranym.

— Dlatego właśnie powinieneś pan mówić. Do ustronia mojego późno i słabo dolatują echa gwaru wielkich rynków życia. Co tam obecnie ludzie najchętniej kupują i sprzedają?

— Wszystko mają do zbycia, prócz wygody osobistej. Świat ogłosił ogólną wyprzedaż starych ideałów i zamierza sprawić sobie nowe. Charaktery i rozumy posiadają swój cennik i wystawiane są na targach, jak ryby i warzywa. Skutkiem obfitej podaży produkty te staniały. Nieraz kuropatwa drożej kosztuje niż cnota. A przytem, jak zwykle na jarmarkach, ludziska oszukują się, biją i okradają. Czy pani chciałaby coś kupić?

— Troszkę swobody.

— Towar to najkosztowniejszy a nadto wyrób jego ma być możliwie ograniczony.

— Ja niewiele jej potrzebuję, zaledwie tyle, ażebym nie musiała ciągle kłamać, ażebym mogła przyznawać się do moich myśli i uczuć, wreszcie czynić to, co nikomu szczęścia nie uszczupla, a mnie je pomnaża.

— To niewiele? Mądrość przez usta ludzkie powiedziała kiedyś, że człowiek nie powinien być dla człowieka środkiem, lecz celem; dziś ona w służbie i najmie wyprzysięgła się tej mrzonki. Dziś człowiek dla człowieka jest środkiem. Kto ma funt złota, połyka mających po łucie; kto ma pud, połyka funtowych, kto ma cetnar, połyka pudowych — i tak dalej. Bogacza można rozmienić na biedniejszych, jak dukat na złote i grosze. Ale podczas gdy dukat, wchłonąwszy zawarte w nim drobne pieniążki, czuje zupełne nasycenie, człowiek, który go posiada, doznaje głodu, dopóki gdzieś tam w najnędzniejszej kieszeni spoczywa możliwy do zdobycia szeląg. Do tej kieszeni zaś sięgnie on w potrzebie drapieżną ręką przez cudzy mózg, serce, płuca, zamorduje, jeśli inaczej obrabować nie zdoła.

— Tak rozgrzewasz pan sobie zimną myśl przesadą, jak skostniałe ręce tarciem.

— Nie, ale za to pani patrzysz na świat przez szybę obmarzłą wzorzystemi złudzeniami. Dziecko zabija bąka, ażeby z jego tułowia wyssać kroplę miodu, myśliwy zabija strusia, ażeby mu ze skrzydeł wyrwać kilka piór, lub słonia, ażeby mu ze szczęki wyłamać kły—słowem człowiek tępi istoty żywe dla drobnej korzyści, porzucając i marnując masy ciał, które po za nią zostają. I niewątpliwie, gdyby znalazł w naturze tak olbrzymie, że głowami trącałyby o gwiazdy, a on w nich upodobał sobie jeden błyszczący włosek, mordowałby je dla tego jednego włoska. Tak samo postępuje ze swym rodzajem. Ten, któremu połechtał oczy wdzięczny uśmiech ładnej kobiety, zbałamuci ją, zniepraw, zbruka, unieszczęśliwi, zmarnuje całą dla chwilowo pożądanej przyjemności pocałowania w koralowe usta. Tamten, który lubi głębokie pokłony gromady ludzkiej przed swem dostojeństwem, ogłupi ją, zubożył, ubezwładni, ażeby kornicj wykonywała te ruchy. Inny nakryje wszystkie opanowane studnie, a połączywszy je podziemną żyłą, przeprowadzi od niej do swych ust słomkę, przez którą pić będzie sam wodę zdrojów, z uśmiechem spoglądając na spragniony tłum, co jego zamknięte krynice otacza i spieczonemi wargami o litość go błaga. Samolubstwo jest moralnym szkieletem natury człowieczej, z którego obecnie coraz częściej opada odgnile ciało. Wszędzie silniejszy wydziera słabszemu więcej, niż sam zużytkować może. Nie potrzebujesz pani

Członków liczy Macierz 166, w tej liczbie nie-szlązaków tylko 12: to zbyt mało! Powinnością jest naszą wspierać zacną tę instytucyę: nie prosi ona o wielkie dary; jak zawsze, tak i tutaj, nie chodzi o hojne datki, ale o liczny współudział, chociażby ze skromnymi przyczynkami, o regularne i stałe ich wnoszenie.

W sąsiednim Szlązku pruskim nie wolno ani myśleć o podobnych usiłowaniach: a jednak i tam jeszcze żywioł polski tak jest znacznym i żywotnym, że, według świeżej wiadomości w dziennikach, kiedy do sądu w Gliwicach wezwano świadków w pewnej sprawie cywilnej, okazało się, że prawie wszyscy chłopcy kilkunastoletni nie umieli ani słowa po niemiecku; reporterowi fakt ten wydaje się *haarsträubend* (od którego włosy na głowie powstają) i woła, aby ludność tameczną „uczono przecież po niemiecku i to tylko po niemiecku, bez żadnego względu na *szanowną polszczyznę*."

Względem litwinów pruskich rząd jest nieco łaskawszym; na petycyę mieszkańców tej narodowości odpowiedziano niedawno z Berlina przyrzeczeniem szerszego niż dotąd uwzględniania mowy litewskiej, tak iż, jak mówi dziennik tylżycki, zyska ona większe przywileje w szkołach od języka polskiego w powiatach mazurskich. A jednak mazurów w państwie pruskiem jest przeszło pół miliona!

Bądź co bądź, łatwiej nam jest pogodzić się z czechami, niż z niemcami, chociaż i ta zgoda idzie nam jakoś po grudzie. Głównym powodem tej grudy jest okoliczność, że nie dość znamy obustronne swe położenie, oraz wynikające zeń nadzieje i sympatye. Czesi nam powiadają: jeżeli pragniecie być naszymi przyjaciołmi, to kochajcie tych, których my kochamy; my zaś im na to odpowiadamy: jeśli chcecie być naszymi przyjaciołmi, to nie kochajcie tych, których my nie kochamy: *inde irae*.

Wielce się przyczyni do posunięcia naprzód wzajemności polsko-czeskiej świeżo przez pana E. J. ogłoszona broszura: Za zgodą czesko-polską *). Autor jej, znany z szczerej życzliwości ku nam, rozbiera powody niesnasek polsko-czeskich i wykazuje logicznie i historycznie przyczyny pewnych antypatyj polskich, które się czechom nie podobają. Kończy następnemi słowami: „Zgoda pomiędzy plemionami słowiańskiemi, oparta na zasadach czysto ludzkich i postępowych, wzmocniona wzajemnem poszanowaniem i strzeżeniem wszystkich praw, ugruntowana na sprawiedliwości względem wszystkich, a na niesprawiedliwości względem nikogo — to prawdziwe zwycięztwo idei słowiańskiej."

*) *Pro shodu česko-polskou.* Praga, 1887. 8-ka w., 45 str.

Książeczka F. A. Hory, o której rękopisie wspominałem dawniej, ukazała się nareszcie w Pradze p. t. *Podręcznik rozmów czesko-polskich* *). Przyczyni się ona niemało do wzajemnego zbliżenia dwóch plemion, które jeszcze w XVI wieku porozumiewały się bez tego rodzaju podręczników. Ułożona jest dobrze i praktycznie, a przy tem wydrukowana ładnie i niedroga.

Z niemieckich nowości książkowych godnemi są zanotowania: nowe wydanie znanego dzieła *Wstęp do dziejów piśmiennictwa słowiańskiego* Kreka, profesora w Gradcu (Graz). Skromny tytuł nie daje wyobrażenia o prawdziwej treści książki, która w drugiem wydaniu urosła z 300 do tysiąca prawie stronnic. Jest to wyborne kompendyum starożytności, ludoznawstwa, lingwistyki i mitologii słowiańskiej; dzieło takiego na dziś znaczenia, jakie w swoim czasie posiadały *Starożytności* Szafaryka. Z przyjemnością mogę zawiadomić czytelników, że grono uzdolnionej młodzieży naszej powzięło zamiar jaknajprędszego przyswojenia tej ze wszech miar znakomitej pracy Kreka.

Jeszcze bliżej nas obchodzi nowa praca prof. Nehringa: „Zabytki języka staropolskiego" **). Składa się ona z dwóch części: wstępu historyczno-literackiego i lingwistycznego, zajmującego 240 stron, oraz tekstów na stu niespełna stronnicach, wreszcie spisu nazwisk i wyrazów trudniejszych. Zanim krytyka zawodowa szczegółowo wykaże zalety i pożyteczność tej książki, niech mi wolno będzie zaznaczyć, iż godnie wypełnia ona brak dotkliwie dotąd uczuwany i niezawodnie stanie się niezbędną do studyów nad dawną polszczyzną.

Znany z licznych prac archiwalnych historyk Pierling ogłosił świeżo w języku francuskim dokumenty z epoki Batorego, wyświetlające stosunki jego z Possewinem i wogóle styczność Rzymu ze światem słowiańskim w XVI w. ***).

*) Praga, 1887, 8-ka mała, str. 127, cena w oprawie 80 grajc.

**) *Altpolnische Sprachdenkmäler*, systematische Uebersicht, Würdigung und Texte. Berlin, 1887, str. 224.

***) *Bathory et Possevino*, documents inédits sur les rapports du St. Siège avec les Slaves. Paryż, 1887.

Ten świat słowiański przesyła nam świeżo promień jednej z najmniejszych gwiazdek swoich w postaci ładnych śpiewów łużyckich. Pierwsza to podobno próba umiejętnej kompozycyi wokalnej do słów łużyckich. Autorem jej jest młodziutki nauczyciel szkoły średniej w Dreznie, pan Bernard Krawc (po niemiecku Schneider, łużyczanie prawie zawsze tłomaczyć muszą nazwiska swoje na język urzędowy). Niech rodaczki nasze spróbują woni nieznanych kwiatów łąk łużyckich w postaci „Tęskноty" (Żedźenje), „Pozdrowienia ojczyzny" (Postrow domiznje) i „Złotej przędzy" (Złote přeća); przekonają się, że natchnienie muzyczne jednakim głosem przemawia nad Elbą i Wisłą, i że mowa łużycka nie tak dalece się różni od naszej, gdy śpiewa o miłości i tęsknocie *).

Jan Karłowicz.

*) *Drei Wendische Gesänge.* Tři Łužisko-serbske spěwy. Budyszyn (Bautzen), u Wellera.

MODA I CYNIZM.

II.

Biorąc za punkt wyjścia zrobiony mu zarzut podjęcia walki przeciwko przyzwoitości, Vischer przedewszystkiem zastanawia się nad jej pojęciem. Przyzwoitość, podług niego, jest milczącą raz na zawsze zgodą na zakrywanie, niewymienianie, nieokazywanie tego wszystkiego, co ujawnione sprawiałoby wrażenie, że stoimy niżej poziomu wykształcenia ogólno-ludzkiego. Nie jest ona wszakże wstydliwością; znajomość tego, co wypada, uczucie duszy nieskalanej, która rumieni się wobec pewnych rzeczy i wyrazów, bynajmniej nie są jednoznaczne, podobnie jak pojęcia obyczajności. Można być przyzwoitym i niegodziwym. Przyzwoitość wytrysła ze wstydliwości, ale uległa zmianie, zanim stała się morzem. Jest ona prawem towarzyskiem, wstydliwością przeniesioną w dziedzinę społeczeństwa. „Jest rękawiczką glansowaną, w której tkwić może ręka szlachetna, ale i pospolita; szczoteczką do paznokci, której użycie wcale jeszcze nie świadczy, że paznokcie nie są kopytami zwierzęcemi; mankietem na ręce, w której żyłach płynąć może krew czysta lub brudna; gorsem, pod którym bić może serce czułe lub okrutne; białym kołnierzykiem, połyskującym u

---

wysyłać oczu daleko, spojrzyj koło siebie, rozważ jakikolwiek stosunek społeczny...

(W tej chwili jakiś szum nagły ogarnął rozmawiającą parę — to niewidzialne, lodowate twory zaczęły koło niej krążyć skwapliwie. Przypłynął wieloryb, kilka rekinów, pił i ryb drobniejszych — wszystkie w ożywieniu i gniewie, niemal dotykając płetwami i ogonami ust mężczyzny).

Obejrzał się niespokojnie a choć nie spostrzegł niczego — zamilkł.

— Mowa pańska — rzekła ona — jest jak ścieżka, niknąca za stopami i prowadząca do przepaści, w którą trzeba się rzucić, ażeby znaleźć ukojenie.

— To też przerwałem ją.

— Dobrze pan zrobiłeś — za zimno na takie słowa, które padają w duszę jak kulki gradu.

— Ciepło krwi ludzi północnych ogrzewa zaledwie ich samych, dla innych już nie wystarcza. Czy pani sądzisz, że twój umysł, lub twoje serce posiada temperaturę wyższą?

— Zdaje mi się.

— Przez sferę zimy przelatują rzeczywiście czasem rozpalone meteory, ale szybko gasną i ziębną. Pani widocznie nie rozmyślałaś nad ludźmi w futrach i wełnie. To jest rasa osobna, całkiem odmienna od ludzi, odziewających się promieniami słońca i ciepłym wiatrem.

— Rzeczywiście? Mnie się zdaje, że ludzie północni, przeniesieni na południe...

— Ziajać będą, jak białe niedźwiedzie w sadzawkach ogrodów zoologicznych, albo marnieć, jak sosny. Eskimos, zaszyty przez całe życie w skórę zwierząt morskich, niechętnie się rozstaje z nią i ze swoją chatą śnieżną, ogrzewaną kagankiem tłuszczu wielorybiego. A jego dusza podobna do ciała: również zaszyta w kożuch, również przyzwyczajona do lepianki ze śniegu, również poprzestaje na ciepłe tlejącego tranu i znosi długotrwałe noce. Nasze kożuchy są lżejsze a wymagania większe, ale pokrewieństwo z eskimosem niezbyt oddalone. Jak ciało osłonięte skórą i szerścią zwierzęcą, tak dusza przesądami: ukazuje zaledwie swoją twarz. Grek był nagi i szczery, my ubrani i obłudni. W czem on widział piękno, w tem my widzimy bezwstyd; co on rzeźbił w marmurze, to my chowamy w szczelnie zamkniętych futerałach ubrania; co on głośno opiewał, to my szepcemy sobie poufnie do uszu. On był człowiekiem całym, my ułamkami ludzkimi, on był genialnym, my jesteśmy tylko przyzwoici. Pani, lepsza od tysiąca innych, niewątpliwie osłoniłabyś sobie rumieńcem i tę cząstkę widzialnego ciała—twarz swoją, gdybym wspomniał...

— Pozostań pan w zwyczajach północy...

(Szum się ponowił a niedostrzegalne istoty rozpoczęły około mężczyzny swój wir gwałtowny).

— Przepraszam.

— Ale nie milcz pan — rzekła ona — my możemy sobie dużo powiedzieć, nie zdejmując futer i wełny.

— Wątpię. Alboż my po tej drodze idziemy sami? Bynajmniej. Za nami suną się niewidzialne a ciągle obecne szeregi duchów opiekuńczych z księgami ustaw, z łańcuchami zwyczajów i pętami przesądów. Wszystko to nas strzeże, krępuje, ściska, w chwilach szczerości na usta palce kładzie i ucisza. Przed tym dozorczym orszakiem nigdzie dwoje ludzi schronić się nie może, czasem tylko ucieknie przed nim jednostka, gdy zostanie sama ze swoją myślą. Człowiek północny jest podobny albo do głuchoniemego, rozmawiającego migami, albo do krętogłowa: musi ustawicznie oglądać się, czy go ktoś nie podsłuchuje i za śmiałość nie ukarze. Ludzie zaś najrozumniejsi, najuczciwsi, najpiękniejsi są wtedy, kiedy

szczęki wilczej lub ludzkiej; mydłem, zarówno zmywającem oblicze bezczelne, jak i to, które znamionuje duszę wzniosłą."

Wszystko, co wychodzi po za granice tak pojętej przyzwoitości, co bezpośrednio wymierzone jest przeciwko niej, nazywa się cynizmem. Wyraz sam pochodzi z greckiego *kinos* (pies). Bezwzględne, nieograniczone przywiązanie do pana, jakiem się odznacza to zwierzę, i nieskrępowanie się w zaspakajaniu popędów zmysłowych, uczyniło miano jego z jednej strony synonimem bezecnie poddańczej służalczości i wszystkiego, co zasługuje na wzgardę, a z drugiej — obrazem wszelakiej sprosności i plugastwa. Z tem wszystkiem przecie bywają wypadki, są chwile, w których cynizm nietylko jest dozwolonym, ale wprost nakazanym, mianowicie, kiedy tak zwana przyzwoitość towarzyska zapomina się do tego stopnia, iż pozwala na rzeczy najbezwstydniejsze w czynach, a jednocześnie zabrania nazywać ich po imieniu. „Co gorsze — pyta Vischer — pluć na posadzkę w salonie, czy też wymówić słowo: pluć? Nie módz w towarzystwie wstrzymać się od czkawki, czy też opowiadać scenę, w której ona kogoś napada? Poprawiać sobie spodnie, ciągnąć za szelki i przez to wzniecić w obecnych obawę, aby nie spadło to odzienie, czy też wymówić sam wyraz: spodnie? Rozumie się, że w każdym razie pierwsze; boć nie ulega wątpliwości, że plastyka czynu nierównie karygodniejszą jest, niż drganie w powietrzu, które wywołuje słowo. Tymczasem, co się dzieje? Przyzwoitość, oparta na wstydliwości, wymaga od kobiety, aby zakrywała wszystko, cokolwiek bezpośrednio ujawnia przeznaczenie jej płci: piersi, kształty poniżej pasa, linię nóg. Nie bezwzględnie, rozumie się; wolno wszak kształty odgadywać pod suknią, ale wszystko powinno się skończyć na tem odgadywaniu; fałdzisto spadająca szata powinna czystą prawdę przyrodzoną osłonić welonem igrającego półcienia. Jeżeli tedy prawda, że czyn gorszym jest, niż słowo, to obnażenie form tych lub noszenie sukien tego rodzaju, iż one pod osłoną wydatniejszą jakby nieosłonięte, bezwarunkowo jest gorszem, niż określenie tej czynności słowami odpowiedniemi. Faktycznie, w formie czynu ujawnia się coś, co jest nieprzyzwoitem podług wyobrażeń, w których dojrzeliśmy i wzrośli — przychodzi ktoś i nazywa tę nieprzyzwoitość nieprzyzwoitością, cóż stąd wynika? Oto jego samego pomawiają o popełnienie nieprzyzwoitości! Wypadłoby, że nieprzyzwoitość polega na nadaniu owej nazwy temu, co istotnie na nią zasługuje. Piękna logika! Dlatego, że na nieprzyzwoitość nie ma wyrazu przyzwoitego, wina ma spaść na tego, który wymówił ów wyraz. Przyzwoitość więc staje się listem żelaznym dla nieprzyzwoitości."

Skoro rzeczy do tego dojdą stopnia, wolno uciekać się do cynizmu, do szorstko humorystycznego wyszydzania nienaturalności, dla zdarcia maski z twarzy obłudnicy i kłamczyni — przyzwoitości. Piszący w takich razach pragnie przerazić, pragnie jednem potrąceniem rozbudzić ze snu pogrążone w drzemce uczucie prawdziwe.

Czy moda warta jest obrzydzenia, gniewu, słowem roznamiętniania się? Dlaczegóżby nie? Krew kipi na widok bezwstydu bezkarnie chodzącego po ulicach i salonach pod tarczą niewłaściwego pojęcia o przyzwoitości, na widok jadu coraz dalej i głębiej wgryzającego się w soki narodu pod wpływem zwyczaju gorszącego i mniemania, że przed całą tą ohydą skromnie milczeć wypada.

Wobec teraźniejszości niepodobna być zimnym. Człowiek się śmieje, szydzi, a gdy śmiech się wyczerpie, gdy krzyczy zbyt głośno, wtedy i spostrzegacz ma prawo krzyczeć jeszcze głośniej, wymyślać z głębi serca. Cóż tu znaczy forma? Mówią, że mam racyę, gdy wyrażam wstręt moralny, ale że go wyrażać nie powinienem. Więc w jakiż sposób wypowiedzieć obrzydzenie, jeżeli nie w słowach je malujących? Jak wypowiedzieć pogardę, jeżeli nie słowami hańbiącemi? Napróżnoż w języku istnieją te wyrazy? Czyliż sądzicie, że stworzone są po to jedynie, aby nimi szafowało pospólstwo? Czyliż dlatego, że ich ono nadużywa, nie ma mieć prawa używać ich ten, kto to czyni sprawiedliwie?

Dla poparcia rozumowań swoich Vischer powołuje się na przykłady z Shakespeara, Goethego, Jean Paula i innych. Wspomina o wymysłach, jakimi pierwszy szafuje w *Ryszardzie III* i *Hamlecie*.

Moda wprawdzie nie jest królową duńską, w każdym razie jednak panią wszechwładną, na którą można poważnie się gniewać; gdy przepisuje strój bezwstydny, nietylko dopuszcza się przestępstwa pojedynczego, ale bezeceństwo rozsiewa po krajach dalekich i zmysł sromu tępi z korzeniem. „W tych dniach — ciągnie dalej autor — na jednej z ulic pierwszorzędnych spotkałem dziewczę, z którego twarzy i ruchów można się było domyślać, że z dobrego pochodzi domu. Suknia jej z przodu do tego stopnia była obcisłą i przylegającą, iż od piersi do kolan uwydatniała kształt każdy, wypukły i płaski, zupełnie jakby ta kobieta była nagą, jeszcze gorzej, niż nagą. Policya, pomyślałem, nie pozwala, aby włóczyła się po ulicach zmysłowość tak ogołocona ze wszystkiego, jak np. w zataczającym się pijaku; stąd logicznie wypływa, że i bezwstyd nagi, publicznie w sukniach ukazujący się, powinien być aresztowany. Niechęć moja stosowała się nie do dziewczyny, która widocznie bez wszelkiej złej myśli, lecz z poczuciem prawdziwie modnej wspaniałości stąpała po bruku. Nie—zwracała się ona przeciwko nieznanej matce, przeciwko nieznanemu ojcu, którzy lepiej o tem wiedzieć powinni i przeciwko wynalazcom i wynalazczyniom tych mód, którzy z całą świadomością *chcieli* mieć odzież taką i wprowadzili."

Obok takiej obrony cynizmu „uprawnionego," autor zasłużoną wymierza chłostę na tych, co plugastwa sieją bez celu. Pomiędzy innemi mówi o prasie: „Wiek nasz zrodził pokolenie pisarzy — kwitnie ono głównie na Helikonie dziennikarstwa, o ile go nie oświeca słońce honoru, i najchętniej sadowi się w fejletonie; pokolenie to wie dużo, czytało nawet Schopenhauera, jest piekielnie nowoczesnem, zepsutem do szpiku kości, pielęgnuje jednak i uprawia nieprzeniknione mysteryum: wielką, najnowszą naukę kabalistyczną, jakoby życie całe obracało się około popędu płciowego (no, i pieniędzy także). Podobne to jest do świątyni egipskiej, która swemi alejami sfinksowemi, wspaniałymi wjazdami i szeregiem kolumn tajemniczo przyciągała ciekawość, aż wreszcie w małem sanctuarium rozwiązywała zagadkę: ukazywał się wół Apis."

„Prawdopodobnem jest, że moda teraźniejsza wciąż jeszcze będzie nadymać się i śrubować — aż wreszcie peknie z powodu nadmiaru, jak pękło dawniej to, co było jej przeciwieństwem, krynolina, jak nadęta żaba w bajce, a potem co? Potem z równem prawdopodobieństwem odżyje druga ostateczność — krynolina."

Zbierając rezultaty pracy swojej, Vischer zwraca się do każdego ze współczesnych z radą: przyswajaj sobie przyzwoitość w tym stopniu, aby ci się stała drugą naturą, abyś w zgodnem z nią postępowaniu był pewnym, że nie będzie się ciebie bało żadne towarzystwo prawdziwie wykształcone; z drugiej jednak strony nie zaprzedaj jej duszy, pozostań mężczyzną, zachowaj sobie czystość prawdy — możesz połączyć jedno z drugiem. Jeżeli przestrzeganie form towarzyskich przejdzie w twoją krew, wolno ci kiedy niekiedy odważyć się i na ich przekroczenie, bo zawsze w takim razie zdołasz utrafić miejsce, czas, sposób i miarę. Zacho-

---

porozumiewają się z sobą jako ludzie, a nie jako politycy, obywatele, mężowie i żony, słowem, istoty osadzone w pewnych miejscach i w pewnych stosunkach. Wówczas zawsze myślą albo o tem, jak by się wyzyskać, albo jak by się przeciw wyzyskowi ubezpieczyć.

— O czemże pan myślisz, rozmawiając ze mną?

— O tych aniołach stróżach, które czuwają nad naszem wzajemnem bezpieczeństwem. Dzięki im pani nie rozmawiasz ze mną, jak z człowiekiem, ale jak z poddanym pewnych praw, obyczajów, form towarzyskich, obowiązków i stosunków. Gdy na jedną szalę kładziesz pani swoje słowa, na drugą — moje pochodzenie, wyznanie, rolę społeczną, związki rodzinne itd. Podobnie ja robię. Przemawiając do pani, muszę pamiętać o twojej matce, ojcu, mężu, krewnych, przyjaciołach, znajomych, proboszczu, wójcie gminy, służbie, o wszystkich, od których pani w jakimkolwiek stopniu zależysz. Ludzie północy mają daleko mniej praw, niż obowiązków.

— Z taką tęsknotą oczekiwałam pana, a z takim smutkiem słucham...

— Z tęsknotą? Tyle nie obiecywałem sobie, mogłem tylko pragnąć.

— Gdybym nie wierzyła, że pan tego spodziewałeś się, byłabym w wyznaniu mojem wstrzemięźliwszą.

— Nawet w tej chwili przypuszczam, że pani chce słodyczami i cackami ubrać dla mnie wigilijną choinkę, którą po skończonej zabawie się wyrzuca.

— Jeszcze wcześniej przestałam być zalotną, niż stroić choinki, domysł więc pański jest tak spóźniony, że aż niedotkliwy. Rozśmieszyłby mnie, gdyby mnie cośkolwiek w tej sprawie rozśmieszyć mogło.

— Dziękuję pani za tę naganę, z której wystrzelał promień nadziei, jedyny, jaki ciemności mojego życia przenika. Migał on przede mną wielokrotnie i gasł natychmiast, skoro tylko chciałem na nim zawiesić szczęściem drgające ręce.

— Uważasz pan, jaki chłodny wiatr się zerwał. Wracajmy...

(Istotnie obwiał ich szum niespokojnego ruchu niewidzialnych tworów, które zbiegły się i uwijały gromadą).

— Wracajmy—powtórzył mężczyzna posępnie. Czy według pani zaszliśmy już zbyt daleko?

— Ach, gdybyś pan znał głębokość mojego cierpienia! Słów w piersi utrzymać nie mogę, a chwytałabym każde, skoro mi z ust wybiegną.

— Czemu pani odmawiasz im swobody? Czemu daremnie więzisz uczucia niewinne i do niewoli niestworzone? Gwałt swojej duszy zadany niejest okrucieństwem mniejszem, niż cudzej. Zrzućmy oboje te lodowate maski, które nam na twarzach ciągle topnieją i krzepną, powiedzmy sobie otwarcie, że...

(Mocny wicher zatamował mu wyrazy — a niewidzialne postacie w szalonych rzutach przemknęły się tłumnie między nimi).

— Na litość — zawołała ona błagalnie — nie mówmy o tem. Zimno mi...

— Widocznie futro pani jest jeszcze za lekkie.

— Już niedaleko do domu. Jak nas pan odwiedzisz w lecie, pokażę panu róże mojego szczepienia.

(Szum ustał, powietrze uspokoiło się a pływające w niem twory gdzieś znikły).

— Niechże je pani zasadzi w piwnicy, ażeby, jak my, nie pokazywały słońcu rozkwitłych myśli i uczuć.

W. Okoński.

waj przyzwoitość, ale nie odstępuj też od prawa humoru i od prawa śmiałego oparcia, gdy głupota stanie się nie do zniesienia. Z bojaźni nie powstrzymuj się od nazwania obrzydliwego obrzydliwem, zwłaszcza jeżeli o tyle będzie bezczelnem, że zamieni się na zwyczaj ogólny. Współcześni może zobelżą cię za to, ale potomność pochwali twoją odwagę.

Ad. J. Cohn.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

Dr Antoni J.: *Szkice i opowiadania*. Serya piąta. Kraków i Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1887, 8-o str. 465.

Gawędę historyczną, stworzoną w literaturze naszej przez Wójcickiego, niezmordowanie uprawia p. Rolle. Utalentowany i płodny ten pisarz piątą już szkiców i opowiadań ogłasza seryę, a współcześnie w wydawnictwach peryodycznych drukuje przyczynki do szóstej. Jest to produkcyjność raczej powieściopisarza obyczajowego. niż historyka, chociaż w opowiadaniach d-ra Antoniego niemało znać poszukiwań i studyów. Na imponującą płodność autora wpływa zarówno pracowitość, jak i praktykowana przez niego w układaniu gawęd metoda. Tym, którzyby chcieli zabrać się do pisania gawęd historycznych, a pragnęliby narobić ich dużo, następującą rekomendujemy receptę:

Wziąść X niekoniecznie z prawdziwych krytycznie, ale do jednego przedmiotu odnoszących się faktów; zamiast szukania przyczynowego pomiędzy nimi związku, połączyć je pajęczyną domysłów, luki zapełnić światami fantazyi. Dobrze jest wpleść w tok opowiadania efektowną wiadomość, niemającą z głównym przedmiotem związku; koniecznie zaś trzeba filozofować trochę, nad marnościami świata tego ubolewać i wzdychać. Nie dbać o kompozycyę, można powtarzać się i od przedmiotu zbaczać, ale trzeba za każdym razem czytelnika przeprosić. Jaknajczęstsze zwracanie się do lektora, powoływanie się na sąd jego, pożądanem jest bardzo.

Szanowny autor *Szkiców i opowiadań* według powyższej recepty nie pisze, ale w wielu razach przypomina ją bardzo. Nie zawsze podaje fakta stwierdzone, nie gardzi pajęczyną, kwiatami, efektami, wogóle akcesoryami natury powieściowej. Akcesoryj owych używa tak obficie, że nawet w łatowiernych panienkach budzi sceptycyzm w formie pytania: czy to naprawdę historya? czy można panu doktorowi wierzyć? Zapytywany w ten sposób zapewniam zawsze solennie, że p. doktór podaje fakty ze źródeł, że nigdy nie komponuje bohaterów, że domyśla się jedynie pewnych drobiazgów. Jeżeli napisze, że panna X. miała romans z rycerzem Z. — niewątpliwa to prawda; nie należy tylko brać seryo podawanych przez autora rozmów, snów itp. bardzo możliwych, ale niestwierdzonych faktami błahostek. Za prawdę uważać należy podróż rycerza do wsi Q. dla widzenia się z damą, nie trzeba jednak przywiązywać wagi do opisu koncertu ptactwa leśnego lub wilków, architektury altany ogrodowej, szczegółów ubrania itp.

Dzięki metodzie nienaukowej, p. Rolle przeszło dziesięć tomów napisał, gdy ściśli historycy, których nie mamy powodu posądzać o lenistwo, parę zaledwie kilkunastoarkuszowych w przeciągu tego samego czasu ogłosili rozprawek. Prawda, że historyografia z pismami d-ra Antoniego nie liczy się; że dziejopis z wielką oględnością i w ostateczności tylko coś z niego uszczknie; ale za to dla czytającej powszechności każdy tom utalentowanego gawędziarza prawdziwą stanowi ucztę. Obecna serya, złożona z dziewięciu artykułów, nie ustępuje pod względem wartości poprzednim.

1. „Na posterunku“ seryi piątej znajdujemy zaporożca Samuela Koszkę, wsławionego bojami ze szwedami i turkami za Zygmunta III. Więcej, niż o bohaterstwie, opowiada autor o amorach kozaka, o tem, jak porwał nadobną ziemiankę, jak się ożenił itp.

2. Monografia o głośnym z czasów Władysława IV i Jana Kazimierza awanturniku, Samuelu Łaszczu, na którym ciążyło za różne sprzeczki 236 banicyj i 37 infamij, należy do najstaranniejszych w tym zbiorze. Dość szczegółowo przedstawia autor przygody warchoła, zaznacza też w charakterze jego i pewne strony dodatnie, których mu pamiętnikarze przyznać nie chcieli. „Jest to, zdaniem jego, przedstawiciel owych krewkich rycerskich rotmistrzów, bardzo u nas w ciągu całej pierwszej połowy XVII stulecia powszednich; jaskrawiej może od swoich kompanów występuje na tle stosunków społecznych, dlatego wizerunek jego, choć napół zatarty, dostał się do potomności, dlatego pamiętnikarze więcej o nim, niż o innych, podobniuteńkich do niego, dorywczych wzmianek nam przekazali. Kto wie wreszcie, może ów dowcip, ów humor złoty, owa fantazya wyborna do zjednania mu rozgłosu przyczyniły się także niemało?!“

3. Pułkownik kozacki z czasów Jana Kazimierza, Iwan Bohun, innym wychodzi z opowiadania p. Rollego, niż z romansu *Ogniem i mieczem*. Wyżej go autor stawia nad gmin szlachecki i idealizuje nieco; szkoda, że przez rozproszenie rysów znamiennych w szczegółach drugorzędnych wizerunek bohatera nakreślił niedość plastycznie. W większych szkicach szkodzi autorowi luźność opowiadania, gubienie charakterystyki w falach wartkiej, ale zbyt obfitej narracyi.

4. Porucznik milicyi Lubomirskiego na Pobereżu, Sawa Czalenko, bronił przed hultajami dóbr pańskich; w r. 1734 wstąpił do hajdamackiego pułku głośnego Werłana, później znowu w służbie rzeczypospolitej siał postrach śród chłopstwa. Po zamordowanym przez hajdamaków pozostał wychowany na Mazowszu przez ojczyma syn, głośny w konfederacyi barskiej Józef Sawa Caliński. Miał się Józef Sawa wychowywać w płockiem w Moszczanach, chociaż istnienia wsi takiej autor nie stwierdza. Jest na Podlasiu Moszczanka, w kaliskiem Moszczenica, w płockiem Moszczonne i Moszczony, lecz Moszczan niema.

5. Bohaterką opowiadania p. t. „Dyablica,“ jest Zofia Opalińska, żona najprzód hetmana Koniecpolskiego, później księcia Samuela Koreckiego. Hetman umarł w sześć tygodni po weselu, Korecki we dwa, co gmin poczytywał za sprawę „laszki dyablicy.“

6. Żona starosty opeskiego, Ciechanowieckiego, z domu Strutyńska, miała po śmierci męża romans ze Stanisławem Augustem, a podobno i syna. Wydał ją król za włocha-przybłędę, „grafa“ Manuzzi, późniejszego adherenta targowiczan i szpiega. Losy owej Strutyńskiej złożyły się na opowieść p. t. „Starościna opeska.“

7. „Wpływową kobietą,“ której autor sporo poświęcił miejsca (str. 327—363), była wdowa po kapitanie gwardyi litewskiej, kochanka podskarbiego Jerzego Flemminga, pani Tymanowa. Dozorczyni dworu podskarbiego, czynny biorąca udział w intrygach stronnictw za Augusta III, wyszła w końcu za Józefa Bystrego, który w roku 1773 zajął krzesło w senacie. Opowiadanie o pani Tymonowej osnuł autor przeważnie na pamiętnikach Matuszewicza, z których niegdyś Bartoszewicz robił liczne rozprawy.

8. „Literacką drużynę“ tworzyli w pierwszej ćwierci bieżącego stulecia zapomniani dzisiaj: Maurycy Gosławski, Adolf Januszkiewicz, Franciszek Kowalski, Tymon Zaborowski ze Stanisławem Skarzyńskim, tak zwanym Stachem z Zamiechowa na czele. Z ciekawego przyczynku do dziejów ruchu umysłowego na Podolu historyk literatury zaczerpnąć może niemało.

9. Sylwetki „Skromnych pracowników“: bibliografa Gwalberta Styczyńskiego, autora trzytomowej statystyki gubernii podolskiej, ks. Wawrzyńca Marczyńskiego i znanego poety Henryka Jabłońskiego, kończą szereg artykułów tej seryi.

Sm.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Wyprawa S. S. Rogozińskiego — żegluga wzdłuż brzegów Afryki zachodniej na lugrze „Łucya Malgorzata“ (1882—1883), Warszawa.

Dziś, kiedy „naukowy“ rezultat „pierwszej wyprawy polskiej do Afryki“ jest znany, a zamyka się w tem, że kilku młodych ludzi na wątłym żaglowcu popłynęło z Hawru do Fernando-Po i wróciło do kraju po wyczerpaniu środków, a „naczelnik ekspedycyi“ pojechał drugi raz dla uprawy kakao — dziś — mówimy — trzeźwe sądy pewnej części prasy stały się chyba dla wszystkich zrozumiałe. I z tego powodu książka p. Rogozińskiego zjawia się dla niego nieco spóźniona. Gdyby to był opis śmiałej, ale naukowo bezpretensyonalnej wycieczki, miałby swoją racyę; ale jako sprawozdanie z „wyprawy“ geograficznej, tryska mimowolnym i smutnym humorem. Jej bowiem „naczelnik“ i autor dotąd pozostaje w zupełnej nieświadomości co do znaczenia swej przejażdżki i co do krytycznych nad nią uwag w pismach warszawskich. Skarżąc się we wstępie na ogół, pisze: „Najbiedniejszy kraj nie ma prawa *hamować* kroków tych jednostek swego społeczeństwa, których powołanie wypiera po za obręb *własnych* interesów do szerokiej, międzynarodowej wiedzy.“ Tu tkwi nieporozumienie, bo „najbiedniejszy kraj nie hamował kroków“ p. Rogozińskiego, tylko nie chciał mu na nie dać pieniędzy, których na takie przedsięwzięcia, dogadzające jedynie „własnym interesom“ umysłowym jednostki, nie ma. Praktycznych korzyści z wyprawy afrykańskiej nasze społeczeństwo ciągnąć nie może, naukowe, z takim nakładem zdobywane, są dla niego za drogie, a w tym wypadku byłyby bardzo wątpliwe, gdyż nadzieja ich opierała się na kilku młodych ludziach, przypadkowo zebranych, z których żaden nie miał odpowiedniego wykształcenia. Dowiódł tego rezultat i... książka p. Rogozińskiego.

Bo i cóż w niej znajdujemy? Suche, często z książek poczerpnięte zapiski o ważniejszych punktach brzegu zachodniego Afryki i o zawartych w podróży, niezmiernie licznych znajomościach. Autor nie posiada talentu literackiego, nie włada wprawnie językiem (pisze np. „baza operacyjna“ lub: „jak tylko rozcidą się młode robaczki po liściach, zeskrobują takowe tępym nożem do naczyń“... itp.), więc nawet nie odmalowywa umiejętnie ciekawych rzeczy i stosunków widzianych, „pragnącemu zaś bliższego opisu“ poprostu radzi: „idź, zobacz, a zrozumiesz, że milczę.“ Bagatela, to znaczy, jeśliś ciekaw, jedź przez Fernando-Po do króla Amatifu. Naturalnie z tej rady czytelnicy korzystać nie mogą i nie chcą, więc często muszą poprzestać na „milczeniu“ autora.

P. Rogoziński tak dalece całej „wyprawie naukowej“ nadał charakter przedsięwzięcia osobistego, że o niektórych swych towarzyszach wcale nawet nie wspomina i tylko dwu —Tomczeka i Janikowskiego—czasem

umieszcza na ostatnim planie obrazu między linami okrętowemi. „Powierzywszy Łucyę-Małgorzatę kapitanowi Boutes," bez którego podróżnicy nasi z pewnością zbłąkaliby się na Oceanie, a może i zginęli w jego głębiach, p. R. siebie mianuje „naczelnikiem" i tę godność podkreśla przed każdym ustawicznie. Młodą hiszpankę objaśnia: „płynę z naukową ekspedycyą"; czytelnikowi zwierza się: „budowałem wielkie nadzieje na pobyt w Elminie"; zadziwia go bystrość krajowców, którzy „instynktem wynajdują w jednej chwili, *kto dowodzi*; „to też — powiada — gdziekolwiek się ruszyłem, miałem za sobą całą bandę." Nawet do króla Amatifu przemawia jak Kolumb: „Z daleka, z najdalszego prawie (!) kraju północy przybywam z towarzyszami mymi do Ciebie, by poznać piękne Twe ziemie, o których mówiono mi często w mojej ojczyznie i które już tam pokochałem i zapragnąłem je widzieć. Słyszałem, że w tych ziemiach itd." Co podczas tych wystąpień „naczelnika" robili i jakie miny mieli jego towarzysze — warto byłoby wiedzieć.

Czasem wycieczki geografów były nacechowane poprostu swawolą dziecinną. Tak np. czytamy: „dawszy *kilka strzałów* na brzegu wysepki, które *strąciły z drzew kilku leśnych mieszkańców* i zauważywszy, że dzienna porcya ryżu krumanów ugotowana — rozpięto żagiel na nowo." Zdaje się, że widzimy grono młodzieńców, którzy otrzymawszy po raz pierwszy fuzyę, pragnąc jaknajczęściej używać przyjemności strzelania, strącają bez celu „leśnych mieszkańców."

O poważnej treści dziełka p. Rogozińskiego rzec można, że co w niem ciekawe, to nienowe, a co nowe, to nieciekawe. Autor z cudzych opisów porobił wyciągi i wplótł w swoje, nawet tam, gdzie — jak np. z rzeką Niger, około której „Łucya-Małgorzata" przepłynęła „bez zatrzymania się" — nie miał z przedmiotem bezpośredniego zetknięcia. Jedynym w książce oryginalnym szczegółem p. Rogozińskiego jest kilkakrotnie wypowiedziany domysł, że ze Złotego Brzegu i z Assini prowadzi nieznana droga do Timbuktu. Słuszne są również uwagi co do szkodliwości wpływu misyonarzów angielskich na ludność miejscową.

„Łucya-Małgorzata," wynajęta agentowi faktoryi niemieckiej, rozbiła się. Jednocześnie rozbiła się i cała wyprawa: jeden z jej członków utonął, drugi umarł, inni wraz z naczelnikiem wrócili do Europy. Przedtem wszakże wytrwalsi zrobili kilka wycieczek w góry i okolice kameruńskie, które autor obiecuje nam opisać później. Może tam przedstawi materyał ciekawszy i świeższy, niż w książce obecnej, która — jak rzekliśmy — jest w części zbiorem pobieżnych notatek o ziemiach przelotnie widzianych i dawniej znanych, w części zaś autobiografią p. Rogozińskiego z jednej epoki jego życia, w której przygotowywał się do niespełnionego dzieła, a przedewszystkiem zawiązywał niezliczone stosunki. Frazesy, zapowiadające czytelnikowi ustawicznie wielki cel wyprawy, na ostatniej stronicy rozwiewają się zupełnie. Ani gór kameruńskich, ani — co było pierwotnie głównem założeniem — jezior Liba wcale nie zbadano, nawet nie widziano.

Ujemny ten rezultat wycieczki, zniżony jeszcze w swem znaczeniu wielkim jej rozmachem, nie zasłania całkowicie wielu sympatycznych rysów głównego jej bohatera. Gdy p. Rogoziński woła w Kindżabo: „Chwytajmy pochodnię światła i wyjdźmy z nią na te pola; niechaj śmiechy materyalnego (?) otoczenia nie zbijają nas z drogi, bo tu, dokąd dążymy, rozpacz mamy skrócić — nie śmiechy tych, co osądzić nas nie są w stanie," gdy rzuca takie szmermele, których żadnym czynem nie usprawiedliwia i „śmiechowi otoczenia" racyi nie odbiera — okrywa się mimowolnym humorem. Ale gdy te fajerwerki zgasną, widzimy postać młodzieńca śmiałego, ruchliwego, ożywionego dobremi chęciami, rozpalonego ogniem nieokreślonego kierunku, ale istotnej siły. Gdyby p. R. nie był „naczelnikiem" jasełkowej wyprawy, ale miał naczelnika, zaopatrzonego w należyte środki i posiadającego z gruntowną wiedzą cel jasno wytknięty — niewątpliwie zdobyłby dla geografii bardzo wiele cennego materyału.

H.

Z ZACHODU.

VIII.

Fryderyk Mistral. — Poezya słońca. — Mireio. — Calendau. — Nerto.

Ukazało się w Paryżu nowe wydanie poematu Mistrala *). Rzekłbyś — blade jeszcze zimą paryską niebo chce zapożyczyć południowego słońca, co już pączki rozwijać zaczyna i — jak mówił Aubanel — wprawia ziemię w tan, nigdy pocałunków niesytą. Co w tem słońcu tkwi — nie wiem, dość, że człowieka rozbiera, jak wino, podrygać zmusza i śpiewać. Tfu! uroki. Śpiewać i poczyą się bawić, nie tą, co pada rytmem kowalskiego młota i dymem hut oczy wygryza, ale co z lazzaronem pluskiem fontanny łaskotliwie igra i podwiewa mu woń fijołków do leniwego a wybrednego nosa. Co za kraj! Wstąpisz do cyprysowego gaiku, choćby w prozaicznej intencyi — już tam poeta; i entuzyazm każe ci zapomnieć, po co przyszedłeś. Uczęszczam do Towarzystwa felibrów dla bogatej biblioteki. Pan prezydent — nie wiedziałem! — nieszczęśliwy, wiersze pisze, a że to instytucya założona w zapale odrodzenia, członków swych już do pracy nazbyt nie zapędza, zdarza się zazwyczaj, że na posiedzenia przybywa sam pan prezydent — i ja w charakterze gościa. Pan prezydent tedy męczy mię, odczytując swe wiersze, to w dyalekcie awiniońskim, to w langwedockim; czasem z jednego przerabia na drugi, ze słownikiem Mistrala w ręku. A nie sądźcie, aby to był prosty wierszorób: tyle w nich ognia, że nie powstydziłby się młodzieniaszek; tylko po za gwiazdy, narcyzy i pocałunki — nic. Stąd ta poezya, młynkująca ustawicznie śród jednych tematów, zawsze osobista, zawsze ptaszęca i fiołkowa, zacofana wobec postępu idej społeczeństwa dojrzałego, musi w końcu znużyć słuchacza, a sama wysilić się, jak poezya trubadurów. Stało się to już nawet, choć liry brzęczeć nie przestają: przed kilkoma dniami oglądałem olbrzymi tom p. t. *Moje tiriliri*. Pozostaje Daudetowi do wyzyskania obok Numy i Tartaryna ciekawy typ: p. prezydenta-poety.

Rozkosz zato prawdziwa wziąść choćby po raz setny do ręki *Mireio*. Ta mała książeczka wskutek swej popularności doczekała się wydań, jakich żaden chyba nie zaznał poeta; obok miniaturowych istnieją ciężkie, ilustrowane, jedno awiniońskie kosztuje 600 fr.; wszystkie opatrzone są przekładem francuskim pióra samego Mistrala, co je czyni przystępnemi równie publiczności naszej, jak francuskiej.

Fr. Mistral urodził się w r. 1830. Ojciec jego był posiadaczem małej własności, składającej się na południu niezmiennie z willi i ogrodów, zasadzonych winem i oliwą, migdałem, figą i morwą. Jest to bogactwo, jakiego u nas nie posiada nieraz wiejski szlachcic, przynoszące w latach urodzaju ogromne majątki. Pierwsze poezye ogłosił Mistral w Prowensalkach Roumanille'a w r. 1852. „Wyspy złote," „Dobosz z Arcole" — apoteoza Napoleona — postawiły go odrazu na czele nowej szkoły, której wodzem pozostał do dziś, wielbiony, dumny, szczęśliwy. Sam on stworzył sobie z ludowej gwary poetycki język, w dzisiejszej literackiej formie nieustępujący najbogatszym. Trzeba słyszeć, z jaką pogardą odzywają się *felibrowie* o biednym, niepodatnym, niedźwięcznym języku francuskim! Jedno się tylko pisze w życiu arcydzieło; takiem była *Mireio* (zdrobniałe Marya) wydana w r. 1860. Jest to sielanka swym wszechludowym interesem podnosząca się do godności eposu, jak *Herman i Dorota* Goethego. Podzielona na 12 pieśni w 7-zgłoskowych strofach, bierze za przedmiot miłość dwojga dzieci, nieszczęśliwy dramat, rozgrywający się na kobiercu przepysznej doliny Rodanu. Dlaczego nieszczęśliwy? Krytyka uznała to nagięcie bujnej wesołości i życia ku smutkowi za gwałt. Wincenty i Mireio kochają się; ubóstwo kochanka mogło być chwilowym szkopułem ich szczęśliwości, ale jak w podobnych razach, tak i tu, miłość winna była odnieść tryumf, tymczasem katastrofa spada najniespodziewaniej. Mireio, chcąc wyprosić błogosławieństwo dla swej miłości, ucieka z domu i bieży przez piaszczystą równinę traw, ojczyznę *Fada-Morgany*, wróżki morgany do kaplicy trzech Maryj. W drodze rażona słońcem upada, do kaplicy donoszą ją umierającą; tam kona w zachwyceniu Maryi, zstępującej do niej od morza. Ostatnie jej słowa: „Szczęśni, szczęśni, których duszy ciało na ziemi nie trzyma" i ten nagły zwrot końcowych pieśni ku mistycyzmowi — zdradzają brak równowagi w samym poecie. Utwór złożony jest z dwu części, pisanych w odmiennym nastroju; raz energii, zapału, humoru, raz marzycielstwa, chorobliwej religijności i smutku. W tej drugiej części Mireio nie przestaje być prawdziwa. Istny to typ prowensalki, niepodobnej, jakby się zdawać mogło, do naszych wiejskich dziewuch, ale wiotkiej, wypieszczonej przez naturę, nerwowej i ekstatycznej — czemu? Fizyologowie głowę nad tem łamią; w każdym razie postać bohaterki jest zjawiskiem nieodlanem z jednego materyału, tajemniczem, niepojętem.

Za to szczegóły są klejnotami poezyi. Czy w p. II zbiór morwowych liści z wracającą raz po raz dźwięczną strofą i wrotką:

Cantás, cantás magnanarello
Que la culido es cantarello,

Czy scena z konkurentami, przynoszącymi dary i wymieniającymi każdy swe zalety i bogactwa w p. IV, czy scena miłosna, piękniejsza nad wszystkie w p. V, a potem walka Wincentego z Uryaszem, dzikim dozorcą stada na stepie Kamargi; czy opis groty wróżek, *trau di fado*, tej samej, gdzie Dante wypatrzył wstęp do swego piekła — jak twierdzą uczeni; czy wreszcie opis piaszczystej Krau i jej napowietrznych cudów; na wszystkiem znać dłoń mistrza i to mistrza, który w pierwszem swem dziele jednego ustępu nie chciał pozostawić bledszym nad drugie. Mireio stała się nader popularną, choć tam nieraz dziewczęta, Iseult i Avalais rozmawiają jak księżniczki z XVI wieku, choć przesuwa się w niej świat średniowieczny i rycerskie nazwiska niepojęte ludowi, choć niektóre pieśni są całe literackimi lub historycznymi traktatami—skłonność, która poczęta tutaj, opanuje później całkowicie poezyę Mistrala. Jest tam zwłaszcza jeden śpiew, nucony na wieczornicy, śród przędzenia kokonów, śpiew przerobiony z ludowego poematu, ale dziś znany już tylko w Mistralowej formie. Treścią jego, w formie dyalogu, powieść o dziewczynie, uciekającej przed kochankiem, ściganej przezeń śród ciągłych przemian i dopędzonej wreszcie. Niema chyba literatury, w którejby motyw ten w różnej postaci nie wracał. U Mistrala zaczyna się:

„O Magali, ma tant amado."

Magali (Magdalena) zmieniała się: w rybkę i kwiat, obłok i słońce, miesiąc i różę; kochanek umiał ją zawsze pochwycić. Oto jak brzmią ostatnie strofy:

---

*) Fr. Mistral: *Mireio*. Petit in 12-o. Paryż, Alf. Semmere, 1887.

„O Mageli, gdy różą w cieniu
Zechcesz się schować,
Ja się motylem stanę zalotnym.
Będę całować."

„Idźże psotniku, skoro, skoro,
Patrzcie, czego mu chce się.
Ja jak dębina twardą się korą
W gęstym osłonię lesie."

„O Magali, gdy ty się drzewem
Zrobisz przez psotę,
Ja się uczynię gibkim powojem.
Nim cię oplotę."

„Hej, hej, ramiona twoje pochwycą
Spróchniały dąb nieboże,
Zdołam ja białą się zakonnicą
Przed tobą ukryć w klasztorze."

„O Magali, białą mniszeczką
Ja cię dobędę,
W konfesyonale księdzem spowiedzi
Słuchać usiędę."

„Gdy ty przez święte mury nieskromnie
Przedrzesz się ku mnie,
Wszystkie mniszeczki znajdziesz koło mnie,
Mnie samą w trumnie."

„O Magali, gdy ciebie smutnie
W całun przystroją,
Ja się przemienię na czarną ziemię—
I będziesz moją."

Poczem dziewczyna, przekonana o miłości, kochankowi pierścionek oddaje. Wyznam, iż nie umiem przełożyć żadnego ustępu z powieści; każdy przekład wydałby się szyderstwem, sam przekład francuski poety, oczywiście prozą, nie dościgł oryginału. Kto słyszał operę Gounoda *Mireille*, zachęci się może do poznania pierwowzoru.

W drugim poemacie epickim *Calendau* (wyd. w r. 1867) wychodzi na jaw to, co się poczęło w pierwszym i co się zwie „manierą." Mistral, obejmujący miłosnemi ramiony lubą swą Prowancyę — on dzisiaj jej król — zachciał ją całą widzieć w swej poezyi. Począwszy od legend o trzech świętych Maryach, co przyniosły na brzegi Galii chrześciaństwo, o Jezusie, co miał poświęcać cmentarz arlezyjski, aż do upadku prowensalskiej świetności za wojen religijnych. Była to jakby chęć zespienia ogniw łańcucha, które trwały w rozerwaniu przez cztery wieki, pojęcia Prowancyi dzisiejszej, jako identycznej z ową dawną. Stąd zlanie teraźniejszości z przeszłością, czyniące bohatera istotą fantastyczną, zawieszoną jakby między dwoma światy.

Calendau jest człowiekiem z krwi i kości prowensalczykiem, rybakiem, mieszkającym w departamencie Varu — a niby błędny rycerz spotyka na górze Gibal wróżkę Estellę, goni za nią, dla jej miłości zdobywa bogactwa i sławę, odbija ją rozbójnikowi, wreszcie wprowadza w tryumfie do ojcowskiego domu. Wróżka nie jest wróżką, ale księżniczką, z tego samego rodu, który wydał *Sybillę* i *Blancheflor* (wiek Karola Wielkiego), Calendau marzył tylko, że żyje w „dobrym czasie wróżek"; słowem, skoro z bohaterów opadnie ta poetycka mgła, pozostanie tylko to, co się czyta w romansach: dwoje kochających, idących ku sobie przez różne przeszkody. Powieść jest na to, aby między jej wierszami mieściły się: historya, geografia, opisy zabaw ludowych, rybołówstwa itp. W jednej pieśni wyliczono wszystkie sławne w dziejach damy; w drugiej książęta prowensalscy, w innej całe dzieje Prowancyi od podbojów Juliusza Cezara; w innej wszyscy trubadurowie, wolni mularze, rozbójnicy wieków średnich, świat mieszkańców pobrzoża czasów dzisiejszych, wszystko żyje z sobą w najlepszej harmonii. Niepodobieństwa piętrzą się na niepodobieństwach; Calendau raniony śmiertelnie zbrodniczym sztyletem w górach Małych Alp, ma czas przepłynąć łódką ogromny kawał drogi, przyczem poznajemy w szczegółach wybrzeże departamentu Var; i ma siłę podruzgotać zbójców, szturmujących do jego ukochanej, ogromnymi, z góry staczanymi głazami.

Ostatnie dzieło Mistrala *Nerto* (imię dziewczyny: Myrt), to uwielbienie czasów, kiedy papieże rezydowali w Awignonie; znów w nim fantazya rozigrana, jakby śród najdziecinniejszych czasów romantyzmu, a nadająca poecie drugi zmysł wzroku, którego nadnaturalność bohaterów nie dziwi, przerzuca poemat ten po za rzeczywistość, z podobnem pojęciem poezyi pogodzić się nieumiejącą. Przytem język doszedł tego stopnia artyzmu, który czyni, że lud nie poznaje się w dziele sztuki i jeżeli w *Mireio* mógł jeszcze twierdzić poeta, że pisze dla pasterzy, utwory nowsze mogą przedstawiać interes już tylko dla amatorów.

Egrot.

KARTKI ESTETYCZNE.

XIV. Nasi rysownicy i nasze rysunki.

Niezbyt dawno jedno z warszawskich pism obrazkowych podało czytelnikom olbrzymią, dwie całe stronice zaczerniającą... łamigłówkę. Łamigłówka ta przedstawia niezrozumiałą gmatwaninę kresek prostych i krzywych, upstrzoną tu i owdzie wielkiemi, czarnemi plamami. Dopiero po długiem wpatrywaniu się, oraz dzięki podpisowi i szczegółowemu objaśnieniu, oko odgadywało, iż te nieforemne, jakby dziecinną ręką kreślone zygzaki, wyobrażać mają: las, a w tym lesie wiszącego na jednem z drzew rycerza. Ale nawet i wówczas jeszcze umysł wahał się w rozpoznaniu: która z plam jest człowiekiem, a która drzewem: pnie bowiem wyciągały gałęzie do ludzkich członków podobne, wisielec zaś pokryty był od stóp do głowy chropowatą korą...

Objaśniono mię, że to oszpecenie całego wnętrza numeru kosztowało wydawcę około dwustu rubli, a gdym dziwił się wysokości tej ceny, pokazano mi u spodu rysunku, wykaligrafowane fantazyjnem pismem nazwisko rysownika. Było to nazwisko „firmowe" — w handlu zaś firma jest rzeczą kapitalną.

Wydawca był w porządku — nie można było tylko powiedzieć tego samego o redaktorze i rysowniku. Pierwszy, jako szafarz kapitałów obrotowych, mógł był użyć tej, znacznej jak na nasze stosunki, cyfry, na przysporzenie pismu kilku, a może nawet kilkunastu rysunków, drobniejszych rozmiarem, ale za to większych wartością; drugi zaś popełnił poprostu... nadużycie.

A trzeba wyznać, ku zawstydzeniu własnemu, że podobne nadużycia są u nas chlebem powszednim i że każdemu artyście (stosuje się to równie dobrze do pisarza) byle tylko został „wziętym" i „ulubionym," bezkarnie popełniać je wolno. Na „firmę" patrzy przedewszystkiem publiczność i ocenia artystyczną pracę nie wartością jej, lecz podpisem; za „firmą" też ubiega się wydawca, zmuszony, pod groźbą bankructwa, rachować się z publicznością.

Tymczasem cały zastęp pracowników utalentowanych, ale nie firmowy, mrze głód lub trudni się rzemieślniczym wyrobkiem, nie mogąc doczekać się swej kolei. A gdy przyjdzie ona wreszcie na którego z nich, zmienia się on znowu w takąż samą „patentowaną" machinę, odbijającą rutynicznie, a za każdym razem niedbalej jeden i ten sam efekt, któremu wyniesienie swe zawdzięcza.

Powiększa to złe w niemałym stopniu okoliczność, że prace rysownicze, w pismach naszych umieszczane, uchylają się z pod wszelkiej niemal kontroli i krytyczności.

Najbłahszy obrazek, byle tylko wykonany farbami i zawieszony na jednej z wystaw publicznych, wprawia w ruch liczne pióra powołanych i niepowołanych sędziów estetycznych; najgłębsza zaś treścią i najsumienniejsza wykonaniem kompozycya ołówkowa, odbita na kartach pisma peryodycznego, wywołać może co najwyżej reklamowy zachwyt — reportera.

Dziwne to i niesprawiedliwe — jeżeli bowiem w literaturze drobna skalą nowela równouprawniona została z wielotomową nawet powieścią, to w sztuce z równouprawnienia takiego powinien tembardziej jeszcze korzystać rysunek w stosunku do obrazu. Należy mu się to choćby z tego względu, iż w genealogii swej wykazać się może takimi karmazynami, jak Kaulbach i Grotger.

Rysownicy nasi stoją poza krytyką — i to pozwala koryfejom obdarzonym patentami lekceważyć talent swój i sztukę, nowozaciężnych zaś prowadzi prawie zawsze na bezdroża.

Do zwyczajnych też rzeczy należy u nas nagły przebłysk talentu ilustratorskiego, który albo natychmiast gaśnie, jak płomień zajętej ogniem słomy; albo też, po pewnym czasie, tlić się poczyna leniwie i bez blasku, nakształt hubki wilgotnej.

Unikam wskazywania palcem osobistości; mógłbym jednak podznaczyć nazwiskami i jedno i drugie spostrzeżenie.

Doświadczony krytyk z pierwszego, nieudanego nawet debiutu pozna się skrzydeł podrywającego się do lotu artysty; gdyby więc, dojrzawszy talent prawdziwy, ni poskąpił mu rady i poparcia, doświadczonemi wskazówkami pokrzepił i kierunek biegu wytknął, możeby nieraz z pisklęcia owego wyhodowało się — orlę. Ale najczęściej dzieje się przeciwnie — i dlatego też nasza domowa zagroda roi się tak wielką ilością pospolitego drobiu...

W roku zeszłym jedno z drobnych pisemek, skąpo i tanio ilustrowanych, zamieściło powieść, ozdobioną rysunkami piórkowemi, zdradzającemi niemałą zdolność spostrzegawczą oraz oryginalny temperament artystyczny. Ani jedno pióro — których tyle skrzypi dziś u nas po wszystkich redakcyach i redakcyjkach — nie zaznaczyło choćby kilkorgiem słów kronikarskich tego zjawiska, tak dla naszej sztuki rysowniczej pożądanego. Artysta, wychylony na chwilę ponad fale, dał znowu nurka — i już go odtąd ani razu na powierzchni nie widziałem...

Co prawda, ujawnił on, przy pierwszym zaraz kroku, przymiot, który wiele umysłów usposobić dlań musiał niekorzystnie, a mianowicie: oryginalność. Tej przyprawy narodowy nasz organizm nie znosi. Po wszystkie czasy nie lubiliśmy „nowinek"— zarówno w sferze myśli, jak kształtów.

Inaczej i praktyczniej począł sobie inny kandydat na rysownika „firmowego." Ten nie przyniósł z sobą w sakwach nic własnego. Natomiast umiał przypodobać się ogółowi tem, że w robocie jego odnajdywał każdy motywy powszechnie znane i „ulubione." Gdy jeszcze, przez mozolne kalkowanie jednego z najznakomitszych rysowników francuskich, przyswoił on sobie trochę popłatnego dziś u nas „szyku," okrzyczano go wschodzącą gwiazdą i firma jego trwałą zyskała podstawę.

Wspomniawszy o szyku, muszę zaznaczyć, że nasza prasa obrazkowa zanadto trochę poczyna się dziś za nim uganiać. Nie przeczę, że i szyk taki pewną racyę bytu posiada (pod warunkiem naturalnie, aby nie chciał być szychem udającym złoto i strojną maską nie osłaniał pustki myślowej), ale jest względem właściwej roboty ilustratorskiej tem jedynie, czem zastawa obiadowa względem samego obiadu. Wartość spożywanych potraw podnosi niewątpliwie blask sreber i porcelany, światła kryształowego, świecznika i zapach przystrajających stół bukietów; przedewszystkiem jednak starać się trzeba o to, aby same potrawy były smaczne i posilne...

U niektórych rysowników ta szykowność za jakąbądź cenę, bywa niekiedy... tragi-

cznie śmieszną. Przyjąwszy za zasadę przedstawiać jedynie ludzi z „szykiem,“ czynią ich głównymi działaczami każdej bez wyjątku sceny: czy nią będzie wesele, czy pogrzeb, widowisko teatralne czy dzień zaduszny, bal czy katastrofa. Nawet rozpaczający nad grobem Julii Romeo musi być u nich misternie ufryzowanym i mieć modnie skrajane szaty; nawet rzucająca się do Wisły samobójczyni musi zdobywać sobie właściwy efekt ładnie przystrzyżoną „grzywką“ z eleganckiem upięciem „tiurniury.“

Rysownicy tacy są ofiarami losowej pomyłki, przez którą dusze krawców znalazły się w piersiach artystów.

Zbyt wiele też dobrych sił rysowniczych zużywa u nas ostatnimi czasy fejleton obrazkowy. Dział to niewątpliwie potrzebny i przyjemny: sądziłbym jednak, iż podobnie jak reporterya dziennikarska, obsługiwanym być powinien przez pracowników właściwych, niewybiegających ani chęciami, ani możnością po za powszednią tę sferę.

Prawda, że bywają dusze artystyczne dziwnej wytrwałości, dusze z żelaza, czy też... z gutaperki, które nawet do szorowania garnków zapędzone, nie zatracają swego boskiego rodowodu — nie należy jednak wyjątku brać za regułę. Znaczna większość talentów, ku niewłaściwym zajęciom skierowanych, marnieje; w najlepszym zaś razie traci bezpowrotnie czas drogi, z którym, jak z kapitałem najcenniejszym, rachować się trzeba!

Niechaj więc podobizny gmachów, kopie z fotogramów, oraz szablonowe procesye, inauguracye, wystawy itp. rysują ci, którzy na twórczość właściwą zdobyć się nie mogą; przed każdym jednak talentem wyższym, do podnioślejszych celów stworzonym, redakcye i wydawcy otwierać powinni drogi szersze, piękniejsze i właściwsze.

Pomimo efemerycznego charakteru, jakim z natury już swej odznacza się prasa peryodyczna, można i na jej kartach zamieszczać dzieła trwalsze, które chwilę bieżącą przeżyją. Dlaczegóżby naprzykład artyści inteligentni i pomysłowi, nie mogli, na wzór Grotgera, stwarzać „cyklów“ obrazkowych, których peryodyczne tablice w czasopismach, całość zaś w oddzielnych albumach na świat by wychodziła? Dlaczegóżby także tą samą drogą nie mogły się ukazywać ołówkowe, kredowe lub tuszowe (dzisiejsze sposoby reprodukcyi na każdy z tych rodzajów pozwalają) kompozycye, ilustrujące arcydzieła naszego piśmiennictwa?

Bo trzeba zaznaczyć, iż dla artysty niema nic rozpaczliwszego nad przekonanie, że utwór, w który częstokroć najlepszą cząstkę swej duszy wkłada, po obudzeniu chwilowego zajęcia, zginąć ma na zawsze na jednym z tych cmentarzów ducha ludzkiego, które zwą się „rocznikami z lat ubiegłych...“

Któż bowiem do roczników tych zagląda? Nurza się w nich może niekiedy, nakształt nurka, bibliograf, dla wyłowienia jakiejś daty lub faktu—czyż to jednak tak znaczny procent ogółu stanawią bibliografowie?

Temu marnieniu i rozpraszaniu się drogocennych pereł artyzmu zapobiedz by mogli wydawcy, gdyby ruchliwiej nieco i pomysłowiej zawód swój traktować zechcieli. A jest to nawet ich obowiązkiem — jeśli nie chcą być jedynie bezpożytecznymi dla spraw intelektualnych przekupniami drukowanej bibuły. Otóż wydawcy ci, narzekający dziś *unisono* na brak opłacających się pomysłów, mają przed sobą kopalnię złota, którą ten i ów po wierzchu zaledwie oskardem zadrasnął, do głębi się nie dobrawszy. Kopalnią tą są: wydawnictwa obrazkowe.

Dotąd pomysłowość naszych wydawców zdobyła się tylko na dwie, najpierwotniejsze formy podobnych przedsięwzięć: na książkę dziecinną, przeznaczoną razem ze złoconymi piernikami na prezent gwiazdkowy, oraz na wielką, zbytkową machinę, kosztującą setki złotych, a potrzebną salonom do ubrania stołu...

Pomiędzy tem *ut* najniższem i najwyższem, mieści się cała gama tonów pośrednich, na których wydawcy zagraniczni od dawnych już czasów wygrywają prześliczne melodye — z uciechą dla publiczności, korzyścią dla sztuki i zyskiem dla siebie.

Ogół nasz, przepadający za „obrazkiem,“ przyjąłby z otwartemi rękami i rozwiązaną sakwą każdy nowy w tym kierunku pomysł, czy byłby on drobnym figielkiem, czy też poważnie obmyślaną robotą — co się zaś tyczy artystów, i to artystów tytułowi temu niekłamiących, wypełniliby oni z ochotą i zapałem tę nową a trwalszą formę wydawniczą najpiękniejszem kwieciem natchnień swych i pracy...

Wiktor Gomulicki.

POEZYA.

SZCZYTY.

Świt posrebrza wschodu brzegi,
Już się budzą ranne brzaski,
Jak po kanwie srebrne ściegi
Biegną po mgle jasne paski.

Jeszcze w cieniu śpią niziny,
Cieniem jeszcze las okryty,
Jeno strojne w karmazyny
Lśnią się w górze śnieżne szczyty.

I z wysoka pełne dumy
Spoglądają na doliny,
Jak na ciemne chłopstwa tłumy
Patrzą możnych rodów syny.

A gdy wschodząc z po za chmury,
Słonko rzuca swe promienie,
Zazdroszczące dołom góry
Kładą na nie wielkie cienie...

Na błękicie coraz wyżej
Promieniste wzlata słońce,
Strugi światła coraz niżej
Śle na cztery świata końce.

Próżno śnieżnych gór wierzchołki
Opierają się światłości,
Zakipiały życiem dołki,
Jasny promień w głębiach gości.

Szumią zboża, gwarzą drzewa,
Wraz się budzą gniazda, chaty,
Świeżość ranku świat owiewa,
Słońce w barwne stroi szaty.

Słychać echa wielokrotne
Głosów mknących pod błękity...
. . . .
Tylko ciche i samotne
Stoją gór lodowe szczyty.

B. Kutyłowski.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Trzęsienie ziemi giełdowej i walenie się domów handlowych. — Wywroty szczere i obłudne. — Paraliż stosunków pieniężnych. — Uszczuplony grunt kredytu. — Upadające kręgle. — Naiwna pociecha i chór wesoły. — Wykluwanie się oszustw. — Ostatni z tego rodu. — Szczególne ustroje moralne. — Ojciec św. odbierający swym ukochanym dzieciom opiekuna. — Miarka naszej pokory. — Hans Bülow wyrzucony z teatru. — Heine z za grobu. — Kulturvolk i my.

My także mamy swoje trzęsienia ziemi, w których walą się domy handlowe, a w ich gruzach giną nieszczęśliwi ludzie ze swojem mieniem. W zeszłym tygodniu runęło kilku bankierów i kupców, a ponieważ oni, jak ustawione obok siebie kręgle, sami upadając, innych przewracają, co chwila zatem grozi upadek całego ich szeregu. Gdyby wierzyć krukom, unoszącym się nad tą ruiną, przybierze ona bardzo szerokie rozmiary. Nasz świat handlowy drży ciągle w swoich podstawach i zaledwie najmocniejsze jego kolumny czują silną oporę. Zniszczenie objawiło się naprzód w dziedzinie jego spekulacyi. Gwałtowny i ustawiczny spadek kursu rubla strącił w przepaść graczów giełdowych i bankierów, mających do pokrycia za granicą znaczne należności. Setki tysięcy rubli, a w ogólnej sumie miliony topniały jak śnieg wiosenny, pozostawiając zwykle błoto. A nie były to jedynie zyski łatwo osiągnięte, zręcznością obrotów pieniężnych zdobyte, ale także ciężko zapracowane oszczędności, które schroniły się do kas bankierskich. Za klęskami istotnemi pospieszyły oszustwa, które, jak stado hyen, idą zwykle za orszakiem śmierci. Gdy jedni padli śmiertelnie godzeni, inni udali zabitych, ukrywszy przedtem powierzone im cudze zasoby. Niema takiej klęski, na którejby przebiegły egoizm nie usiłował zrobić interesu; więc miesza się podstępnie między ofiary katastrofy. Wtedy kryminał zbliża się coraz bardziej do kantoru bankierskiego, a prawo coraz częściej łączy je pomostem, po którym schwytani winowajcy wędrują do czyśca pokutnego.

Na tych wstrząśnieniach i szczerych lub udanych wywrotach olbrzymie straty ponosi zarówno handel, jak przemysł. Kupcy, obok szkód bezpośrednich w przepadku należności, znaleźli się na uszczuplonym do niebywałych rozmiarów gruncie kredytu, którego szerokość jest dla nich koniecznym warunkiem działania pomyślnego. Weksel z nazwiskiem, które niedawno jeszcze bez trudu otwierało żelazne drzwi banków, dziś staje się świstkiem, wyobrażającym naiwne złudzenia wystawcy. To nie papier obiegowy, to zaledwie prośba bezskuteczna. Kapitał zagraniczny przed nią się zamyka i krajowy ucieka. Przez stosunki kredytowe przeciągnął się paraliż, który pozwala tylko na ruchy ociężałe tam, gdzie ich szybkość jest niezbędną. Jak kupiectwo nasze wyjdzie z tej kąpieli, w której wszystkie jego gałęzie kamienicją — przewidzieć trudno, zwłaszcza gdyby podobny stan stężenia potrwał dłużej.

Nie lepiej wiedzie się przemysłowi. Według wieści, niektórzy fabrykanci odmówili zapłaty za surowe materyały, sprowadzane z zagranicy, żądając odsunięcia terminu, gdyż różnica kursu rubla między porą obstalunku a obecną chwilą pokrycia zobowiązań sięga cyfr do stracenia niemożliwych. Całem szczęściem w tych opałach jest naiwne przekonanie spożywcy, że tu tylko giełdziarze, kupcy i fabrykanci cierpią na tych trzęsieniach ekonomicznych, on zaś pozostaje niedotkniętym i niezainteresowanym ich świadkiem. Gdy w tygodniu minionym zwaliło się kilka firm, jednocześnie podniósł się humor w chórach tej tragedyi. Opowiadano sobie wesoło o bankructwach dokonanych i przypuszczalnych, jak o wypadkach karnawałowych. Przed kieszenią pełną zginają się kolana tych samych ludzi, którzy potem w pustą plują lub ją wywróconą wnętrzem na wierzch wywieszają z urąganiem. Śmiech więc w tego rodzaju wypadkach jest dość zwykły, ale czasem, jak obecnie, brzmi w nim nuta pewności, że ruina ogranicza się do pewnej sfery i nie ogarnia całego społeczeństwa. Zbankrutował żyd, giełdziarz, kapitalista — mówimy sobie — ale nie ja, człowiek pracy. Tymczasem w otchłań owych bankructw spadły również i nasze szkody, tylko ich nie widzieliśmy lub nie dostrzeżemy. I to jest właśnie cała pociecha tych, którzy się śmieją.

Przy pożarach wszelkich muszą być złodzieje, którzy korzystając z zamętu, kradną bezkarnie. Gdy ogłoszono, że Bank polski zostanie zniesiony, a w jego miejsce powstanie Bank państwa, w instytucyi, przez długie lata cieszącej się uczciwością swych urzędników, zaczęli szybko wykluwać się oszuści i złodzieje, którzy z płonącego domu usiłowali wynieść zdobycz. W ich szeregu stanął świeżo nowy bohater, może najpodlejszy. Zrabowawszy około 80,000 z pomocą dowodów fałszowanych, umknął za granicę, zostawiwszy nieszczęśliwą i shańbioną rodzinę, okradzionych wierzycieli i wplątanych w odpowiedzialność towarzyszów służby. Cnota nie jest wyłącznym przymiotem żadnego narodu, tak jak zbrodnia wyłączną wadą — obie zatem są w nas naturalne. Ale w ciężkim okresie życia, kiedy do kar niezasłużonych dołączone występki pomnażają ogrom nieszczęścia powszechnego, kiedy każdy już nietylko w interesie własnym, ale społecznym powinien zaostrzyć swe obowiązki, utrzymywać swoje sumienie tak czystem, jak łza niedoli, w czasie wytężonej czujności moralnej i potrzeby ścisłego ważenia swych czynów — zbrodnia tego opryszka pada na ogół szczególnym ciężarem. Dość przysłuchać się temu odgłosowi zgrozy, jaki ona wywołała. Z odrazą do występku łączy się u nas, a czasem ją wyprzedza oburzenie na łotra za zniewagę dla imienia narodowego. Uczucie to bywa nieraz przesadnem i zbyt drażliwem, ale źródłem swojem świadczy o pięknym rysie charakteru społeczności, pragnącej walczyć o byt cnotą, uczciwością. Przyznać też należy, że jeżeli to dobre imię rodzinne się plami, to zawsze w jednostkach szczególnie zwyrodniałych. Ukraść nawet znaczną sumę odrazu — na to nie trzeba podłości wyjątkowej, wystarczy zwykła, ta, która przeważnie zaludnia kryminały. Ale kraść przez lata całe, snuć mozolnie i umiejętnie sieć oszustw, obracać się ciągle do ludzi jasną stroną prawości, posiadać szacunek i zaufanie, hulać swobodnie i wesoło, a nawet wstępować czasem na kazalnicę publiczną dla skarcenia grzechów cudzych, jak właśnie robił ostatni rabuś bankowy — to już wymaga wyższych zdolności złodziejskich. Gdy człowiek uczciwy wstawi siebie myślą w rolę takiego wytrwałego rzezimieszka, zdaje mu się, że ustawicznie by drżał, znosił straszne męki niepokoju i zgryzot, uciekał od własnego cienia, zdjął uśmiech z twarzy. Tymczasem ów rzezimieszek, przez lat kilka wsuwając rękę do cudzych kieszeni, bawi się, ma humor, pływa w zadowoleniach, jest szczęśliwym. Ciekawa psychologia tych potworów.

Pomimo że zdrożności tego gatunku zdarzają się coraz częściej, nie sądzę, ażeby rzetelność naszą już można było jako zabytek archeologiczny umieszczać na wystawie starożytności między karabinkiem Kościuszki i ołtarzykiem Jana III.

Jeżeli pewne, dziwnie wstrzemięźliwe organy naszej prasy „nie wzniosą się do wyżyn protestu“ teraz, to już chyba tej śmiałości względem Watykanu sobie nie pozwolą. Wiadomo, że jednym z najenergiczniejszych posłów Koła polskiego w sejmie niemieckim był ks. Jażdżewski. Nie posiadał on zdolności pierwszorzędnych ani jako polityk, ani jako mówca. ale posiadał temperament, odwagę, zapał kaznodziejski, gotowość do walki i — co w życiu publicznem ma znaczenie — silną ambicyę. Roztropniejszy i dzielniejszy od wielu innych występował ciągle jako rzecznik Koła w jego imieniu zbiorowem. Ani razu Izby mową swoją nie olśnił, ale jej słowa prawdy obficie sypał. Niewątpliwym dowodem jego wartości i wpływu było już to samo, że z posłów polskich najmocniej gniewał ks. Bismarka. Poznańczycy uznawali w nim swą znakomitość, nieustraszonego obrońcę. I oto z polecenia papieża arcybiskup Dinder odebrał im tego użytecznego człowieka, zakazawszy mu przyjąć mandatu poselskiego. Deputacya włościan, którzy w ks. Jażdżewskim musieli widzieć z natury rzeczy najgłówniejszego swego patrona, udała się do arcybiskupa z prośbą, ażeby cofnął swój zakaz. Czuły plenipotent „ojca św.“ nawet ich nie przyjął. Dodać winniśmy, że księżom niemieckim nie zabroniono posłować do parlamentu i że tę szczególną łaskę okazał Leon XIII jedynie polakom. No, cóż możeby „wznieść się do wyżyn protestu?“ Ech, gdzie tam! Miarka naszej pokory i uległości dla Stolicy apostolskiej nie ma dna, więc przebrać się nie może. Mimo te dowody miłości, papież pozostanie dla nas tem, czem był: kochającym swe dzieci ojcem, opiekunem sierot politycznych, obrońcą wszystkich katolików, najmocniej przyciskającym do swego serca polskich. Ha, ha, ha! Już nie „wznosić się na wyżyny protestu,“ ale śmiać się trzeba całem gardłem, tak głośno, żeby aż zacny arcykapłan w Rzymie usłyszał i zawołał: „Filokomes, marsz do grzmotu!...“ Tego nie zrobimy, ale że Leonowi XIII nie postawimy pomnika na Wawelu — to pewna. Zresztą — kto wie!

Nie, my nienajgorsi. Do Berlina przyjechał słynny fortepianista Hans Bülow, który popełnił w oczach Giermanii coś gorszego, niż okradzenie banku, bo miał kilka ostrych przemów przeciwko szowinizmowi niemieckiemu a w Pradze czeskiej nazwał się na afiszu „Hanuszem.“ Otóż temu strasznemu winowajcy zachciało się odwiedzić Operę berlińską: kupił bilet, wchodzi do sali... Nagle zatrzymuje go woźny, spogląda mu bacznie w twarz i na wyjętą z kieszeni fotografię, wreszcie pyta:

— Pan jesteś Hans v. Bülow?

— Tak.

— To proszę wyjść, bo wstęp do teatru dla pana wzbroniony.

Duchu Heinego, cóż ty na to? Twój „kulturvolk“ wypędza z teatru człowieka znakomitego, który się shańbił — sympatyą dla innego społeczeństwa?

— Czytaj, com napisał — odpowiada mi z grobu ironicznym głosem złośliwy Harry: „największym głupcem na świecie jest naród niemiecki.“

— Ja tak źle o nim nie sądzę, mój Harry, ale żeś ty w właściwem miejscu widział przyszłość Niemiec, że prosięta pieczone z liśćmi bobkowymi w bufecie kolejowym słusznie ci przypominały ojczyznę — to coraz bardziej rozumiem. Ale czemu z nas drwiłeś? Nasi artyści mizdrzą się do wszystkich narodów, nie wyłączając niemieckiego, zmieniają swe nazwiska całkowicie, a wiesz, co my robimy, gdy ukażą się w teatrze? Klaszczemy zapamiętale i marzymy o wyprzężeniu im koni od karety.

Bez żartu — my w nieszczęściach sfanatyzowani, drażliwi i wrażliwi okazujemy często więcej tolerancyi i rozwagi, niż ten pychą i powodzeniem napęczniały ród teutoński, który w swych namiętnościach zniża się do zwierzęcej zaciekłości. Nie mogę wyobrazić sobie społeczeństwa polskiego, któreby wyrzucało z teatru kosmopolitę, jakim jest Hans Bülow. Że popełniony na nim gwałt obraża uczucia ludzkie, widać już z tego, że słynny pisarz i prawnik Ihering w osobnym artykule zajął się rozbiorem i potępieniem berlińskiego skandalu. Na karabinie oparci mogą niemcy zuchwale spoglądać naokoło siebie; ale gdy usuną ten oręż, muszą spuścić oczy przed wzrokiem dzisiejszej cywilizacyi.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Łęczycanie jako materyał do dziejów naszej umysłowości. — Dola artystów wędrownych. — Krytyka w pismach prowincyonalnych. — Burza w szklance wody. — Logika *Korespondenta płockiego*.

Zbieraczom pamiątek historycznych radzę zachować współczesnych mieszkańców Łęczycy. Przyszły historyk znajdzie tam ciekawy materyał do dziejów naszej umysłowości. Według *Kaliszanina*, recytator Konopka, który miał wielkie powodzenie w Warszawie, nie znalazł tam słuchaczów. Korespondent dodaje jednak, że publiczność łęczycka gromadnie spieszy do teatru, gdy afisz zapowiada *Żyda wiecznego tułacza*, albo *Trójkę hultajską*.

Tam chyba artyści wędrowni nie potrzebują tak gorącego współczucia, jakiem ich darzy *Dziennik łódzki*, wyrzekając na obojętność publiczności, zwłaszcza ze sfer inteligentnych. „Jakże rozpaczliwym być musi stan trup wędrownych, tych sympatycznych biedaków, którzy się zaprzęgli w służbę poezyi, którzy rozpowszechniają po świecie prawdy, rzucone przez wielkich wieszczów na pokarm ludzkości i którzy, jak u nas, mają szczerze zamiłowanie do słowa polskiego.“ Ta garść biedaków „służy jak może wzniosłym celom sztuki,“ a najważniejsza to, że chodzi w dziurawych butach. *Dziennik* prosi dla tych ludzi o sąd pobłażliwy, krytykę łagodną, poparcie serdeczne, przyjacielskie.

Istotnie smutne robi wrażenie taka gromada ludzi koczujących. Znane są pierwsze kroki w życiu tych, którzy później noszą ogólne miano *wykolejonych*. Młodzieniec z umysłem stępionym przez brak odpowiednich podstaw wychowawczych, lub przedwcześnie zrujnowany nadużyciami, kończy zwykle karyerę naukową na elementarnem wykształceniu, albo wyrzucanym bywa z trzeciej lub czwartej klasy. Pozostają mu do wyboru trzy zawody: seminaryum, apteka i teatr. Pierwsze dwa potrzebują jeszcze znacznego nakładu pracy umysłowej. Trzeci najwięcej przedstawia uroku pod każdym względem. Tam też chętnie podążają młodzi ochotnicy sztuki, aby „służyć jak można“ jej wzniosłym celom. Niewątpliwie są tu, jak i na każdem innem polu, jednostki górujące wiedzą i zdolnościami. Nie pod każdym wszakże względem ci krzewiciele wielkich prawd zasługują na sympatyę i współczucie. Kto jest wtajemniczony w życie artystów trup wędrownych, ten nie będzie ubolewał nad dziurawymi butami. Czy to w doli, czy w niedoli, każdy taki sługa Melpomeny musi chodzić w dziurawych butach, skoro trzy czwarte a często i całą pensyę topi w kuflu i kieliszku. Weszło to już w tradycyę i poniekąd jest uważane za osobny sport. Nieraz ci bohaterowie wypowiadają wielkie myśli ze sceny w stanie na pół trzeźwym. Jest granica, gdzie wszelka ułomność ludzka blednie wobec stosunku pracownika do chlebodawcy. W takich razach istotnie los tych ptaków wędrownych godzien bywa litości. Trzeba tylko podpatrzyć zakulisowe tajemnice postępowania dyrektorów z aktorami, ażeby raz na zawsze stracić sympatyę dla tych kierowników sceny prowincyonalnej. Jeden z nich zyskał sobie już rozgłos w przeszłym roku skandalami. Gdy idzie o odebranie należności, robotnicy do rozpaczy bywają doprowadzani i kończy się na bezrobociu w chwili najważniejszej. W drugim lub trzecim akcie aktor na scenę nie wychodzi. Wówczas odbywa się burza za kulisami, przerwa się przewleka, publiczność okazuje zniecierpliwienie. W końcu po długich targach, dyrektor, przyciśnięty ostatecznością, płaci zaległą pensyę. Łatwiej solistom urządzać takie bezrobocia. Gorzej bywa z chórem, gdzie brak jednomyślności. Tutaj dyrektor zasługuje na potępienie już niejako wyzyskiwacz, lecz

jako krzewiciel zepsucia. Chórzystki z kilku rubli miesięcznie nie mogą się wyżywić i opłacić mieszkania. Gdy zażądają podwyżki zarobku, dyrektor z zimną krwią odpowiada: „Idźcie do gości! Podziękujcie, że macie tak dobrą firmę!" Chórzystki nie dają sobie dwa razy tego powtarzać. Tym sposobem pod pokrywką wzniosłych celów szerzy się nierząd, dochodzący do rozmiarów potwornych. Trupy wędrowne w większości wypadków mają poparcie ze strony ogółu. Co zaś do krytyki, ta istotnie przydałaby się w organach prasy prowincyonalnej. Młodzi, najczęściej początkujący aktorzy, są bardzo wrażliwi na recenzye i mogliby niewątpliwie korzystać z rozumnych wskazówek. Ale, niestety, siły krytyczne prasy prowincyonalnej są bardzo słabe. Redaktorowie poruczają ocenę sztuki i gry aktorów reporterom, zaledwie czytać umiejącym, którzy, połapawszy urywane zdania samych aktorów lub publiczności, kleją sprawozdania teatralne, czasem z wyrażeniem o sztuce sądu, przepisanego z *Kuryerów*. Każde miasto posiada sporo ludzi inteligentnych, wykształconych. Szkoda, że tacy ludzie nie czuwają nad kierunkiem opinii publicznej.

Reporter *Gazety radomskiej* w dominie „czeladnika szewckiego" wywołał burzę w szklance wody. Oto opowiedział czytelnikom, że damy z „wyższego świata" naraziły na wstyd staruszka rzemieślnika, odmawiając, wszystkie po kolei, jego zaproszeniom do tańca. Następnie „uzbrojone w pince-nez," bawiły się doskonale obserwacyą, głośnemi uwagami i żartami z rzemieślników. Od jednego z tamtejszych abonentów naszych otrzymaliśmy list pełen oburzenia na to wykręcenie prawdy. Według tego świadka, sala resursy radomskiej ma dwie galerye: górną i dolną pod filarami. Na balu rzemieślniczym było mnóstwo kobiet starszych wiekiem, które bez żadnej pretensyi do tańców, zajęły miejsce na tej drugiej. Jednemu z gospodarzów przyszła chęć prosić do tańca po kolei wszystkie kobiety siedzące między filarami. Każda, nie mając odpowiedniego stroju, odmówiła. Temu drobnemu faktowi reporter *Gazety radomskiej* nadał znaczenie skandalu.

Korespondencie płocki! Czyś pomyślał o zasadach logiki, piętnując w długich i kwiecistych frazesach ludzi, na których padł fałszywy cień podejrzenia, a następnie broniąc ich w odsyłaczu?

„Czytaliście zapewne korespondencyę z nad Wisły w *Kraju*? Smutnych dożyliśmy czasów! Nietylko podupadliśmy na mieniu, ale co gorsza, i na sumieniu naszem. Instytucya nasza kredytowa, jak twierdzi korespondent z nad Wisły, w „nawiślańskiem pewnem gubernialnem mieście" nie małą w tej skandalicznej sprawie odgrywa rolę... Piętnujemy dla dobra ogólnego tych wszystkich, którzy są zakałą naszego społeczeństwa. Na podobne wrzody społeczne tylko radykalne środki poskutkować mogą. Gdybyśmy byli oddawna każdego, dopuszczającego się nieszlachetnego czynu, stawiali pod pręgierzem opinii publicznej, z pewnością stan obecny pod każdym względem nie byłby dla nas tak groźnym. Gdyby prasa nasza, której to jest głównym obowiązkiem, pilniej strzegła *powszechnego zdrowia* społecznego i uważniej, a nadewszystko bezstronnie oceniała ludzi i ich czyny, straszna ta choroba, osłabiająca tak dotkliwie nasz organizm, nie byłaby przybrała nigdy tak zatrważających rozmiarów."

Te wszystkie tyrady i wiele innych bardzo się podobały *Korespondentowi płockiemu*, więc umieścił je na czele numeru, w odsyłaczu zaś drobnym drukiem zrobił dopisek: „Oskarżenia owego korespondenta *Kraju* p. Waliszewskiego z Paryża, dotyczące Kaliskiego, po przeprowadzonej ankiecie, okazały się niesprawiedliwe, a nawet z pewnych względów nikczemne i tylko oszczerce hańbiące itd." Czy nie lepiej było ten artykuł zostawić, w razie wypadku, na zgromienie jakiego innego przestępstwa w przyszłości? Należałoby tylko wyrzucić „instytucyę kredytową," a natomiast podstawić coś innego i... zadanie rozwiązane!

Drogomir.

Obława na pastorów. Charakterystycznym dowodem łatwości zdurzenia opinii publicznej u nas jest naganka, jaką urządził na pastorów pewien zły i lekkomyślny korespondent, któremu zwłaszcza pisma prowincyonalne posłużyły za rodzaj huczków. Postawił on naprzód pod pręgierzem jednego z księży ewangielickich za mniemane niemczenie przy chrzcie nazwisk polskich. Na podstawie przejrzenia ksiąg metrycznych i objaśnień osób wiarogodnych a bardzo poważnych, zamieściliśmy w swoim czasie odpowiednie sprostowanie, zalecając przedewszystkiem wstrzemięźliwość w ostatecznem wyrokowaniu o sprawie do czasu rozstrzygnięcia jej przez sądy, do których przeszła. Tymczasem ta sama osobistość dalej rozmazuje zjadliwą ślinę po kolumnach pism prowincyonalnych i to już nie przeciwko jednemu, ale wszystkim pastorom. Obelgi i krzywdzące posądzenia ludzi, między którymi jest wielu zacnych obywateli kraju, leją się tak szerokim upustem, jak gdyby publiczne unurzanie kogoś w błocie było najniewinniejszą zabawką. Daremnie zaczepieni bronią się dowodami, daremnie odsłaniają pobudki napaści, daremnie zobowiązują się zapłacić znaczną karę pieniężną, jeżeli im oskarzyciel udowodni przemianę pewnego nazwiska — naganka idzie dalej. Ażeby dać próbę środków w niej użytych, przytoczymy wymowny szczegół. Jeden z pastorów, dowodząc, że wobec zmienności nazwisk, podtrzymywanej przez sam lud (w tej samej rodzinie jeden zowie się Sobek, drugi Sobczak, trzeci Sobczyński itd.) pomyłki i przeróbki są dla znających rzecz z doświadczenia bardzo zrozumiałe — uwidocznia to na przykładzie Frank—Frankowski. Cóż robi strona przeciwna? Oto głosi, że pastor sam *przyznał się* do przemiany Frankowskiego na Franka. Jestże to spór rzetelny?

Nie rozbieramy szczegółowo tej awantury, w której splątało się mnóstwo nici, pozostawiając ostateczną ocenę tego wątku sądowi; zaznaczymy tylko dwa smutne objawy: 1) łatwowierność i lekkomyślność pewnych pism w szerzeniu mętów ze źródła niesprawdzonej czystości, oraz 2) pochop do sztucznego rozmnażania winowajców urojonych, jak gdyby rzeczywistych było nie dosyć.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Oszustwo. Władysław Kiersz, urzędnik Banku państwa, właściciel sklepu kolonialnego, restauracyi, mydlarni, dwu zakładów fotograficznych, wreszcie redaktor i wydawca *Głosu*, okradłszy Bank zapomocą fałszowanych czeków na 80,000 rs., przywłaszczywszy sobie wiele powierzonych mu kapitałów prywatnych, tak że ogólna suma przechodzi 150,000 rs. — uciekł z Warszawy. Łotr ten skrzywdził bądź współodpowiedzialnością, bądź materyalną stratą, cały szereg uczciwych i biednych ludzi. Nie będziemy tu przypominali, czem nas obrzucono, gdyśmy poważyli się jego przedsięwzięcie dziennikarskie związać rodowodem z *Fortuną* i *Figarem*, bo wypadek jest za zbyt bolesny, ażebyśmy chcieli wyzyskiwać go na korzyść własnej racyi i łatwego tryumfu; ale zaznaczymy rys charakteryzujący zbrodniarza: ponieważ oszustwa swoje w Banku dziergał od r. 1883, zatem wówczas, kiedy podrabiał do kradzieży czeki, upominał w prospekcie *Głosu*, prasę, ażeby „przedewszystkiem była *uczciwą*," „*świątynią prawdy*," w której „płonąć powinny wiara w owoce pracy *dla przyszłości* i gorąca miłość dla wszystkiego, co dąży *do podniesicnia kultury* we wszystkich gałęziach bytu i wiedzy." Zimną miał krew oszust, „pracując dla przyszłości."

Cudownego uleczenia niemowy, Kamilli Watigny, miał, według pism paryskich, dokonać dr Berillon, hypnotyzer, który kilkakrotnie uśpił chorą i w śnie kazał jej rozmawiać ze wszystkimi. Uległszy jego woli, odzyskała mowę.

Opłata szkolna od wakacyj w zakładach naukowych w Warszawie ma być podwyższoną. Przedstawienie Okręgu naukowego w tym przedmiocie otrzymało zatwierdzenie ministeryalne.

Przedłużenie. Termin bezakcyzowego wydawania spirytusu fabrykom chemicznym na wyrób eteru siarczanego został przedłużony do r. 1890.

Ruda żelazna. Pod Nowosielskiem znaleziono pokłady rudy żelaznej, która, według analizy jednego z tutejszych chemików, zawiera znaczny procent metalu.

Przytułek. W dobrach przyborowskich hr. Tomasza Zamojskiego, nad Bugiem, wybrano już grunta pod budowę przytułku dla inwalidów kolejowych.

W Ciechanowie do szkoły i fabryki wyrobów drutowych Karasiewicza zgłosił się w przeciągu dni czterech cały komplet, tj. 50 uczenic. Dalsze przyjmowanie, dla braku miejsca, zostało zawieszone.

W Łodzi otwarto fabrykę waty hygnoskopijnej i materyałów opatrunkowych z blicharnią, gremplarnią i tkalnią.

Szkoła dla telegrafistów. W Lublinie przy biurze naczelnika okręgu pocztowo-telegraficznego otwartą została szkoła, do której przyjmowani bedą młodzieńcy umiejący czytać i pisać w wieku od lat 16—25. Wykład teoretyczno-praktyczny. Lepsi uczniowie mają otrzymywać pensye od 8 do 12 rs. miesięcznie. Po skończeniu szkoły będą mieli przywilej zajmowania posad urzędników pocztowo-telegraficznych. Kandydaci powinni się zwracać z prośbami (z dołączeniem dokumentów) do naczelnika okręgu pocztowo-telegraficznego.

Wystawa sztuki i starożytności otwartą została w Hotelu Europejskim d. 5 b. m.

Towarzystwo wzajemnej pomocy oficyalistów prywatnych istnieje w Galicyi od lat kilkunastu. W czwartym kwartale r. 1886 wydało na zapomogi i stałe potrzeby administracyjne 14,200 złr., tudzież przyznało nowych stałych zapomóg 735 złr., sześciu wdowom 618 złr. stałej zapomogi, dzieciom 18 złr., a w wypadkach śmierci wydało na pogrzeb (po 50 złr.) ogółem 450 złr. Majątek Towarzystwa wynosi obecnie 5,450 złr. 30 cent., zaś w efektach 369.100 złr. Dochód Towarzystwa w czwartym kwartale roku zeszłego wynosił 19,943 złr. 70 cent.

O potwarz w druku. W Piotrkowie w sądzie okręgowym rozpatrywaną była sprawa przeciwko p. Mirosławowi Dobrzańskiemu, redaktorowi *Tygodnia*, oskarżonemu przez niejakiego Kossowskiego o potwarz w druku. Sąd uniewinnił p. Dobrzańskiego.

Nowi lekarze. Zatwierdzeni w stopniu lekarzy w uniwersytecie warszawskim: pp. Wincenty Mazurkiewicz i Stanisław Zaleski.

Stowarzyszenie. W gubernii podolskiej zawiązało się stowarzyszenie udziałowe celem wyrabiania sody. Kapitał wynosi 2 i pół miliona rubli.

Źródło nafty. Pod Kalwaryą, według petersburskiego *Herolda*, znaleziono źródła nafty, należące do włościanina Orzechowskiego.

Konfiskata. We Lwowie prokurator rządowy skonfiskował numer *Gazety narodowej* z artykułem: „Obrona Galicyi na wypadek wojny."

Dobra wiśniowieckie. Odwieczna siedziba książąt Wiśniowieckich, Wiśniowice, w gub. wołyńskiej, pow. krzemienieckim, sprzedana została za bezcen przez ostatniego właściciela hr. Broel-Platera p. Tollemanowi, prezydentowi m. Kijowa. Dawny właściciel, chcąc następnie sprzedaż unieważnić, wystąpił na drogę sądową. Sąd okręgowy łucki oddalił pretensye hr. Platera.

Odczyty. Dzisiaj, tj. 12 marca rozpoczyna się druga serya odczytów na rzecz Kasy Mianowskiego w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa.

Dzieła Galileusza. Król Humbert podpisał dekret nakazujący przygotowanie nowej edycyi wszystkich dzieł Galileusza kosztem państwa. Nowe wydanie będzie odbite *in quarto* i wyniesie 20 tomów po 500 stronic. Minister oświaty zaprosił wielu uczonych do pomocy.

Trzęsienie ziemi. Dzienniki zagraniczne donoszą o silnem trzęsieniu ziemi d. 15 stycznia r. b. w Yokohamie.

Kasa oszczędności w Warszawie. Do 20 lutego r. b. 39.312 osób posiadało złożonego w kasie oszczędności przy magistracie m. Warszawy kapitału 1,732,653 rs. 63 i pół kop.

Służba ruchu na drodze Dąbrowskiej składała w przeszłym miesiącu egzamin z praktycznej znajomości instrukcyi kolejowej i języka rosyjskiego. Znajomość języka wszyscy okazali dostateczną; pod wzglę-

dem służbowym 20 pomocników zawiadowców stacyj i kilku zawiadowców zdradzało braki. Naznaczono im miesiąc czasu do poprawki. W razie powtórnego niepowodzenia będą zdegradowani lub usunięci ze służby.

Komisya rachunkowa w radzie medycznej oświadczyła się za zniesieniem monopolu aptek w wielkich miastach i za zmianą taksy lekarstw.

Kasa zaliczkowo-wkładowa dla urzędników ministeryum oświaty w Piotrkowie została zatwierdzoną.

Stacya centralna. Otwarto stacyę centralną kolei żelaznych w domu Zawiszy na Bielańskiej. Ważniejsze czynności: odbiór i ekspedycya towarów na wszystkie koleje za frachtami zwyczajnymi i pospiesznymi, sprzedaż biletów osobowych na wszystkie koleje w kraju i zagranicą, zabieranie i dostawianie bagażów podróżnych z domów, hotelów i dworców kolejowych; udzielanie na towar i bagaże osób prywatnych zaliczeń na mocy porozumienia się z Bankiem handlowym.

Zmarli. Dr med. Antoni Kościakiewicz, sztabs-lekarz b. w. p., kawaler orderu „virtuti militari,“ krzyża złotego, medalu francuskiego zasługi w czasie cholery. Doktoryzowany w Montpellier. Właściciel majątku ziemskiego w dep. Loary. Poczynił zapisy na rzecz zakładów naukowych w Rapperswilu i Krakowie. Pisał po francusku i hiszpańsku.

— Piotr Beks, generał zakonu jezuitów.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Ad. Lan. Nic nie zrozumieliśmy.

P. Wład. Przyst. w Rydze. To nie jest wcale utwór literacki.

P. H. Br. w Lubl. Gruntowne napisał W. Smoleński w *Gazecie polskiej.*

R. Aleks. Ken. w Warszawie. Poprzedniego listu nie odebraliśmy. Objaśnić Pana może jedynie redakcya *Kuryera codz.*, którego kompletów my nie mamy. A o jakie numery naszego pisma z 1885 r. Panu chodzi?

OFIARY.

Do rozporządzenia Redakcyi. Od U. D. N. rs. 20.

Na kasę imienia Mianowskiego. Marya Eliaszewicz z Jachny rs. 5, Michał Ciumdziewicki student z Moskwy jako członek rs. 5.

Na szkołę rzemieślniczą. Jabłkowski rs. 1.

Dla chorego studenta. Otrzymane na zebraniu pani T. U. rs. 9 kop. 4.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Февраля 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.